

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 20 LIPCA 1929 ROKU

NR. 29

TREŚĆ NUMERU: Sąsiedzka współpraca kobiet. Jeszcze w sprawie reformy szkolnictwa żeńskiego — *Dr. B. Stelmachowska*. Poezje: „Pantofelki Matki Boskiej“, „List ze wsi“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (d. c.) powieść — *Herminja Naglerowa*. Rydło św. Isaaka — *Ewa Szelburg-Zarembina*. W Wilnie i dworach litewskich — *Stefanja Podhorska-Okotów*. Wakacje matek — *Marja Dobrowolska*. Z książek — *St. H.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu — *J. E. i R. B.* Placówki gospodarcze dla kobiet — *M. Karczewska*. Jaki powinien być dom — *M. D.* Kilka uwag o pielęgnowaniu roślin w pokojach — *Stan Schönfeld*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Nad morzem — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

SĄSIEDZKA WSPÓŁPRACA KOBIET

V-ty Zjazd Małej Ententy Kobiet w Warszawie.

Nazwa ludzi. „Petite Entente des Femmes“ nie jest odpowiednikiem znanej organizacji politycznego porozumienia Czechosłowacji, Jugosławji i Rumunji.

Do kobiecej „Małej Ententy“ należą organizacje Polski, Grecji, Czechosłowacji, Jugosławji i Rumunji, zgrupowane w porozumieniu, stawiające sobie cele wielostronnej współpracy kobiet na terenie reprezentowanych krajów, a przez to zbliżenie, mające osiągnąć stabilizację pokoju.

Przed kilku laty, gdy powstawała „Mała Ententa Kobiet“ (w roku 1923-im zorganizowana na Kongresie „Alliance Suffragiste“ w Rzymie), wiązane z ideą Małej Ententy politycznej świeże jeszcze nadzieje i... obawy zgrupowania w centralno - południowej Europie państw, które miały żywotny interes w obronie traktatu Wersalskiego i układu w Petit - Trianon. Były, jak wiadomo, chęci wciągnięcia Polski w rachuby Benesa, — były różne znaki polityczne, wróżące tej koncepcji rozrost i znaczenie. Pod wpływem tych zapewne iluzji, organizacja kobiet wymienionych 5-ciu krajów antycypowała i nieścisłe przystosowała swą nazwę do istniejącego porozumienia politycznego państw, uznających swą małą kombinację polityczną za równoległą do wielkiej Ententy mocarstw Zachodu.

Tej nieścisłości nazwy, niewątpliwie niepożądaney, nie dało się dotychczas usunąć, gdyż między członkiniami Porozumienia kobiecego istnieje zasadnicze w tej kwestji... meporozumienie, mające swe źródło w głębszych przyczynach politycznych, sprawiających, że przedstawicielki Rumunji i Czechosłowacji uparcie obstają przy terminie, reprezentują-

cym dla ich krajów wzmocnienie idei i prestiżu państwowego.

Pod tym, niezupełnie szczęśliwym, szyldem odbył się jednakże pomyślnie V-ty zjazd Małej Ententy Kobiet w Warszawie w dniach 25 — 28 czerwca.

Organizacja zjazdu i trzydniowej konferencji kobiet pięciu krajów spoczywała w rękach Klubu Politycznego Kobiet Postępowych, którego przewodniczącą, Dr. Justyna Budzińska - Tylicka, była w ostatniej kadencji prezeską „Petite Entente des Femmes“, mając do pomocy centralne biuro (zarząd), rezydujące w Warszawie i złożone z członkiń klubu.

Nie wszystkie kraje, delegujące swe przedstawicielki do Małej Ententy Kobiet, posiadają w swych ustawach równouprawnienie kobiet. Pod tym względem rola polek jest dominująca, nawet wobec czeszek, które mając pełne równouprawnienie polityczne i obywatelskie, realizują je w skromniejszym, niż polki, zakresie. Rumunki, jugosłowianki, greczynki, dalekie jeszcze od uzyskania pełni praw obywatelskich, czerpią od polek i czeszek inicjatywę, przykład i moralne poparcie w walce o postulaty równouprawnienia. Także i postępy urzędzeń społecznych, oraz wybitny udział kobiet w ich tworzeniu i prowadzeniu wyróżniają Polskę z pośród krajów sąsiedzkich, jakkolwiek wszędzie bardzo czujnie i z wielkim zapałem kobiety tworzą kadry inicjatorek i organizatorek instytucyj społecznych.

Owa przewaga ideowa, śmiałość czynów i rozległość poglądów przedstawicielek Polski dawała się odczuć zawsze na dotychczasowych zjazdach Małej

Ententy Kobiet; zaznaczyła się również na V-tym zko-
lei, Zjeździe warszawskim.

Już na samym wstępie zjazdu, podczas oficjal-
nej jego części, na uroczystym otwarciu, odbytem
w wielkiej sali Rady miejskiej w Warszawie, gdzie
przedstawicielki uczestniczących krajów w krótkich
referatach obrazowały sytuację i rolę kobiet w swej
ojczyźnie,—sprawozdanie polskie wykazało, jak bez
porównania donioślejszy jest udział polek w życiu
państwa i społeczeństwa, w tworzeniu jego kultury,
jak wszechstronnie organizuje się działalność kobiet
w Polsce...

Podczas obrad, przy żadnym z trzech dysku-
towanych tematów nie brakło referatu polskiego. Oczy-
wiście, że po żywej zawsze wymianie zdań w dysku-
sji, wnioski polek wychodziły bardziej kompromiso-
wo w rezolucjach zjazdowych — lecz na kompromi-
sie właśnie polega istota wszelkich uchwał zbioro-
wych.

Tembardziej w organizacji o tak szerokich ce-
lach, jak Mała Ententa Kobiet, nie jest najważniejszą
rzeczą litera, lecz duch uchwały, i fakt, że uchwały te
powzięto wspólnie w międzynarodowym gronie przed-
stawicielek organizacyj, reprezentujących daną sumę
wpływów na terenie swego kraju.

W pierwszym dniu zjazdu wygłoszono referaty
na temat „Macierzyństwo a praca zawodowa“ (p. Cer-
vena i dr. Budzińska - Tylicka), poczem w dyskusji
atakowano szczególnie dwie tezy: jedna, to propozy-
cja czeszek, wypowiadająca się przeciw wszelkim
„przywilejom“ dla kobiet pracujących z racji ich ma-
cierzyństwa, co, rzekomo, obniża wartość pracy ko-
biet i stwarza dla nich warunki wyjątkowe. Wprost
przeciwnie stanowisko zajęły przedstawicielki Polski
i Jugosławji, żądając opieki społecznej i pomocy pań-
stwa dla matek pracujących i ich potomstwa.

Drugą kwestją, ostro dyskutowaną, była zasa-
da świadomego macierzyństwa. Inicjatorce tezy —
czeski, polki, jugosłowianki — opierając się na za-
sadzie wolności osobistej kobiety, występują przeciw
narzucaniu jej funkcji macierzyńskich ze zrządzenia
wypadku, a nawet wbrew jej woli. Występują prze-
ciw mnożeniu pokoleń nędzarzy, chorych i zdegene-
rowanych; przeciw wydawaniu potomstwa przez gruź-
lików, alkoholików, obarczonych chorobami zwyrod-
niającymi.

Z drugiej strony odpierają te nowe zasady głów-
nie rumunki, zwolenniczki tradycji, licznych rodzin
i kultu macierzyństwa absolutnego i instynktownego...

Po dłuższych deliberacjach uchwalono następu-
jące rezolucje w sprawie ochrony macierzyństwa:

1) Każda matka musi być ubezpieczona w ka-
sach ubezpieczeniowych tak, by mogła otrzymywać
pełny zarobek w okresie 3 miesięcy łącznie przed i po
urodzeniu dziecka;

2) we wszystkich krajach, powinien być wpro-
wadzony system dodatków rodzinnych do płac pra-

cowniczych i te dodatki muszą być wypłacane mat-
kom;

3) prawa dzieci, zrodzonych, poza małżeństwem,
powinny zostać uregulowane przez ustawodawstwo
międzynarodowe;

4) praca kobiety, jako gospodyni i matki,
musi być traktowana, jako część dochodów rodziny i
to powinno dawać żonie prawo do części zarobków
męża na jej wydatki osobiste;

5) biorąc pod uwagę *jakość*, a nie *ilość* potom-
stwa, konferencja Małej Ententy Kobiet poleca swym
grupom narodowym pracować nad obudzeniem w ma-
sach poczucia odpowiedzialności za fakt powołania
do życia istoty ludzkiej, oraz szerzenia wiadomości
o zasadach świadomego macierzyństwa.

Tak więc przesłizgnięto się dyskretnymi ogólni-
kami nad sprawami „drażliwymi“, zaznaczając jedy-
nie, iż wzbudziły one zainteresowanie uczestniczek
zjazdu...

Drugi dzień dyskusji, przeznaczony na sprawę
walki z prostytutką i handlem kobietami, wywołał
niemniej żywą wymianę informacji o stanie sprawy
w różnych krajach. Dość paradoksalnie brzmiała opi-
nija jugosłowiańska, żądająca utrzymania reglamen-
tacji ze względów... różnorodności narodowej i religij-
nej swego państwa. Najbardziej postępowem ustawo-
dawstwem abolicyjnym szczyci się Czechosłowacja;
Polska utrzymuje jeszcze stan pośredni reglamentacji
sanitarnej przy zniesieniu koncesjonowanych domów
publicznych. Rumunja, Grecja i Polska skarżą się na
rozwieleniony w tych krajach proceder handlarzy
kobiet.

Po referatach pań dr. Zivanowic, Hegerowej i
Krawczyńskiej, które podkreśliły silnie wpływ złych
warunków ekonomicznych i wyzysku pracy kobiecej
na wzrost prostytutki, powzięto następujące uchwały:

1) system reglamentacji musi być zniesiony pod
każdą postacią;

2) w krajach Małej Ententy Kobiet należy za-
stosować ustawy, zwalczające choroby weneryczne;

3) zasada jednej i tej samej moralności dla obu
płci powinna być wprowadzona do wychowania mło-
dzieży, obok nauki uświadomienia płciowego we
wszystkich zakładach wychowawczych;

4) walka z handlarzami kobiet musi być prowa-
dzona na terenie międzynarodowym środkami sku-
tecznymi i surowymi;

5) zważywszy, iż wyzysk pracownic i niskie za-
robki kobiet są głównymi przyczynami prostytutki,
konferencja Małej Ententy Kobiet poleca swym gru-
pom narodowym, aby a) walczyły przeciw niskim
płacom i bezrobociu kobiet; b) pracowały nad zapew-
nieniem młodzieży żeńskiej wykształcenia zawodowe-
go, organizowanego przez państwo; 3) zapewniły nad-
zór nad młodzieżą przez dobrze uposażone kadry po-
licji kobiecej.

Trzeci dzień przyniósł na porządek obrad spra-

wę możliwości pokoju powszechnego. Interesujące i na wysokim poziomie referaty pań Theodoropoulo i dr. Józefy Kodisowej stały się podstawą do uchwalenia szeregu rezolucyj, protestujących przeciw wszelkim objawom militarizmu i imperjalizmu, a wypowiadającym się za ścisłą współpracą pokojową państw w zakresie gospodarczym i komunikacyjnym przez unję celną, za zniesieniem paszportów i gwarancją praw kulturalnych jednostkom i narodowościom. Wypowiedziano się również za zniesieniem kary śmierci.

Aby dzieło pokoju między narodami prowadzić skutecznie, należy ideje pokojowe szerzyć wśród młodzieży: w tym celu Mała Ententa Kobiet uchwaliła zorganizować w swych krajach wielki konkurs wśród młodzieży na temat pacyfizmu, poczem trzy najlepsze prace byłyby nagrodzone na uroczystym posiedzeniu podczas następnego Zjazdu P. E. F.

Tak wyglądają pokrótce rezultaty warszawskiej konferencji Małej Ententy Kobiet. W związku ze zjazdem komitet organizacyjny wydał Biuletyn, zawierający historję poprzednich prac i konferencyj P. E. F., odbytych kolejno w Bukareszcie, Belgradzie, Pradze i Atenach. Zamieszczono w Biuletynie rów-

nież program zjazdu warszawskiego i artykuły o wystawie powszechnej w Poznaniu, którą w towarzystwie polskich członkiń komitetu zwiedziły przedstawicielki zagraniczne.

Również w Warszawie zorganizowano dla gości cudzoziemskich zwiedzanie miasta, interesujących gmachów i instytucyj społecznych.

Nowy okres działalności Małej Ententy Kobiet zaczyna się obecnie pod zarządem rumunek. Czeski zrezygnowały z tego zadania pod wpływem swoich wewnętrznych tarć. Z rąk zasłużonej prezeski polskiej, dr. Budzińskiej - Tylickiej, obranej jako wiceprzewodnicząca, prezesura przeszła do p. Cantacuzène i siedziba zarządu P. E. F. mieści się teraz w Bukareszcie.

Polityczne znaczenie współpracy organizacyj kobiecych sąsiadujących z sobą krajów, wpływ stałego kontaktu pokojowo usposobionych czynników na terenie dość narażonym, jakim są Bałkany, wreszcie ugruntowanie faktu, że kobiety w życiu międzynarodowym i państwowym są przedstawicielkami postępu społecznego, idei pokoju i gospodarczego współdziałania narodów — doznały ponownego wzmocnienia na warszawskim zjeździe Małej Ententy Kobiet.

DR. B. STELMACHOWSKA

JESZCZE W SPRAWIE REFORMY SZKOLNICTWA ŻEŃSKIEGO

Referat, wygłoszony na I-szym Zjeździe Stow. Kobiet z Wyższem Wykształceniem w Poznaniu

Należy wziąć za punkt wyjścia w projektowanej reformie żeńskiego szkolnictwa średniego dwa referaty, wygłoszone w dniu 5 kwietnia r. b. na Zjeździe T. N. S. W. w Warszawie. Nie poruszając znanych argumentów, przemawiających, czy to za zmianą programu szkolnictwa średniego w myśl dezyderatów p. Degen - Ślósarskiej, czy też za żądaniami identityczności programu p. Iwaszkiewiczowej — należy zastanowić się nad przypuszczalną genezą słynnego już dzisiaj sporu szkolnego, wykazać słuszność pewnych, wysuwanych przez obie panie, tez i przedstawić poglądy na nie społeczeństwa wielkopolskiego.

Pani Iwaszkiewiczowa, trwając przy zachowaniu identityczności średniej szkoły męskiej i żeńskiej co do programu i metody, opiera się na ogólnie - ludzkim stanowisku dążenia do wiedzy; rozumie i odczuwa moc nauki, do której kobiety dawnych epok dążyły różnymi drogami, by wreszcie, na skutek wielkich przewrotów socjalnych po ostatniej wojnie, otrzymać w darze wraz z innymi prawami wolny

wstęp do Uniwersytetu i wolny — przynajmniej teoretycznie — dostęp do wszystkich zawodów i stanowisk. Zrównanie nauki kobiet z przygotowaniem męskim do zawodów było więc zrazu przy uzyskiwaniu tych nowych, zdawałoby się, odurzająco śmiałych i wielkich praw dla kobiety, jedynym logicznym rozwiązaniem przygotowania kobiety do życia, równego męskiemu pod względem zawodowym.

Stworzono gimnazja o programie identitycznym z męskim i ukazano kobietom gościniec otwarty na szeroki świat wiedzy, nauki, postępu i władzy. Teoria ta wnet stała się utopją. Kobiety, po chlubnym odbyciu wszystkich studjów średnich i wyższych, otrzymywały naogół niskie stanowiska, a otwarty na świat szeroki gościniec wszelkich potencyj zamienił się wnet wśród trudów życia na kamienistą i wyboistą drogę.

Zbudziła się krytyka i zastanowienie, czy trud wkładany się opłaca, czy nie szkoda wysiłków i pracy, które skierowane być mogły słusznie w inne dzie-

dziny życia. Powstało wołanie o szkoły zawodowe i jest ono bardzo silne we wszystkich dzielnicach Polski. Poczęto w programie nauczania w średnich szkołach żeńskich dopatrywać się błędów. W zmienionych formach stosunków społecznych powojennych i w zajmowaniem w stosunkach tych przez kobietę stanowisku widziano niebezpieczeństwo, zagrażające rodzinie. Kobieta, pracująca zawodowo, wykształcona na sposób męski, przestawała w oczach wielu być kapłanką ogniska rodzinnego, jego ostoją i podporą. Kobieta, wykształcona na sposób męski, stawała się bardziej niedostępna, zdawały się zanikać cnoty domowe i t. p. i t. p.; prorokowano już upadek gospodarstwa domowego, przewidywano wynaturzenie się kobiety!

Na takim podłożu psychicznym powstać mógł projekt pani Degen - Ślósarskiej o wprowadzeniu nauk praktycznych do programu szkół gimnazjalnych dla dziewcząt. Pani Degen - Ślósarska podaje wprawdzie motywy inne, jak statystykę szkolnictwa wyższego, z której wynika olbrzymi procent kobiet, studujących na Wydziałach Humanistycznych, a nikły — na przyrodniczych, skąd wyprowadzić można słuszny wniosek o kierunku uzdolnień kobiecych. Niemniej jednak zastąpienie pewnych godzin przyrody naukami praktycznymi, higieną i psychologią dziecka — jest inowacją niewłaściwą i w najwyższym stopniu szkodliwą.

Echa sporu przedostały się za pośrednictwem prasy do społeczeństwa i obudziły duże zainteresowanie. Pogląd województw zachodnich na sprawę reformy szkolnictwa żeńskiego na stopniu średnim wyraża się nieco odmiennie od opinii województw innych. Wynika to z innego typu szkół, jakie na Kresach Zachodnich były na początku Wskrzeszonej Polski. W Poznańskim, na Śląsku i na Pomorzu istniały szkoły powszechne, wydziałowe, licea, gimnazja i szkoły zawodowe. Gimnazjów żeńskich było stosunkowo bardzo mało, a te, które istniały, miały program naukowy, identyczny z męskim. Stan taki trwał jeszcze przez lat kilka, w którym to czasie zlikwidowano zupełnie liceum (którego niedobitki w formie dwu ostatnich klas jeszcze gdzieś istnieją), zamieniając liceum na gimnazjum.

Z biegiem czasu, przy niektórych gimnazjach państwowych, a także prywatnych, uwzględniając rodzaje uzdolnień, wprowadzono selekcję na gimnazjum humanistyczne i neohumanistyczne, podobnie jak w gimnazjach męskich. Szkoły wydziałowe, stanowiące dobrą przystań dla dziewcząt mniej uzdolnionych, a przygotowujące do zawodów praktycznych i odciażające gimnazja, poczęto likwidować z wielką szkodą dla całych rzesz dziewcząt. Na szczęście, władze zorientowały się w szkodliwości swego zarządzenia i likwidację wstrzymano; są nawet ze stron urzędowych propozycje, aby może w innej formie i z pewnymi zmianami i uprawnieniami przywrócić liceum dla dziewcząt. Te projekty utrzymania

szkoły wydziałowej i ewentualnej rewindykacji liceów wynikają z nastroju społeczeństwa wielkopolskiego, które, do takiej selekcji zdawna przyzwyczajone, domaga się kilku typów szkół dla dziewcząt, przy równoczesnym utrzymaniu identycznego z męskim — gimnazjum dla dziewcząt.

O tę selekcję wołają wszystkie przełożone szkół średnich, woła nauczycielstwo. W tym też braku selekcji, czy — jak w Wielkopolsce — zaniku selekcji leży dalszy powód, i bardzo ważny, wołania o zmianę programu żeńskiej szkoły średniej. Dziewczęta mniej zdolne, zapędzane gwałtem z braku innej szkoły do gimnazjum, męczą siebie i nauczyciela szereg lat, aby wkońcu wytworzyć ten sam inteligencki proletarijat na Uniwersytecie, a później w zawodzie. Trywjalizuje się nauka, obniżają się programy szkół wyższych, poziom Uniwersytetów upada przez napływające masy źle przygotowanych i niezdolnych osobników.

Rozszerzenie sieci szkół zawodowych, w czym pani Iwaszkiewiczowa jedynie widzi zbawienie i odciążenie szkolnictwa średniego, nie jest dostateczne i w chwili obecnej nawet nie tak bardzo pożądane. Praktyka wykazała, że absolwentki istniejących w Polsce 450 szkół zawodowych nie znajdują pracy. Nie możemy domagać się gwałtownie rozszerzenia sieci tych szkół, skoro one mają mnożyć osobniki nie-szczęśliwe. Rozwój szkół zawodowych uwarunkowany jest stanem ekonomicznym kraju, rozkwitem różnych gałęzi przemysłu, korzystnym stanem bilansu handlowego i t. p. i t. p.

Problem zmiany programu przedstawia się w sposób niesłychanie skomplikowany, jeżeli wszelkie możliwe typy uzdolnień i przeznaczeń życiowych chce się wtłoczyć w ramy szkoły średniej. Domagać się musimy selekcji materiału szkolnego i to nietylko w sensie rozbudowy szkoły zawodowej, lecz przede wszystkim w kierunku zachowania szkoły wydziałowej tam, gdzie ona istnieje, a nawet w kierunku rewindykacji liceum z uprawnieniami do pewnych zawodów.

Podany materiał opiera się na opiniach rodzicielskich, nauczycielskich i urzędowych w Wielkopolsce. Na mocy tych opinii postawić można następujące wnioski:

1) — Należy orjentować opinię publiczną, że pewne niedobory programu gimnazjalnego dla dziewcząt są niedoborami gimnazjów wogóle, a nie wpływają z odmiennego ustroju biologicznego i psychicznego dziewcząt.

2) — Gimnazjum męskie i żeńskie powinno być identyczne dla chłopców i dla dziewcząt tak, jak identyczne są później ich studia naukowe na Uniwersytetach i zawody w życiu.

3) — Powinniśmy dążyć do jaknajdalej idącej selekcji, aby rozmaite uzdolnienia dziewcząt znalazły możliwość rozwoju w szkołach różnego typu.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

PANTOFELKI MATKI BOSKIEJ

Szła raz Matka Boża
polskimi drogami,
nasturcyjowy pożar
buchal za płotami.

Szła sobie wolniutko
wzdłuż polskich ogródków,
płaszczykiem niebieskim
ocierała łezki.

Pytała Nieboga
kąkoli i maczków,
czy zajdzie tą drogą
do Swego Synaczka.

Bo długo szła boso
wśród słońca i kłosów,
a osty, ostróżki
zraniły Jej nóżki.

Aż w lesie przy sośnie
kwiatuszek ukradkiem
uronił litośnie
mięciutkie dwa płatki.

Do stópek Jej białych
przyłgnęły nieśmialo,
jak złote, niewielkie,
wonne pantofelki.

Przez drzemiacą wioskę
szłam ja dziś przed świttem —
kwiatek Matki Boskiej
w lesie mnie powitał.

Sukienkę pogładził,
na smutek poradził;
dał mi płatek złoty
na moją tęsknotę.

LIST ZE WSI

Nie wiem, od czego mam zacząć —
powała tuż, tuż nad głową.
Zaczynam znowu przebaczać,
zaczynam kochać nanowo.

Nic nie wymyślę lepszego
od tego małego domku,
okienek, patrzących w niebo
na szare, polskie skowronki.

Ogródek mały, maleńki
i pięć nagietek w ogródku.
Odeszły mnie wszystkie udreki,
odeszły mnie wszystkie smutki.

Ustawiam chabry i miętę
w zielonym, glinianym garnku
pod pstrym obrazkiem świętym,
kupionym gdzieś na jarmarku.

Odoljon, w lipcu — 1929 r.



HERMINJA NAGLEROWA

12)

ZAWALIDROGA

(powieść)

CZĘŚĆ II.

XII.

Franek obudził się nazajutrz bardzo wczesnie, bo po domu szły głośnie kroki. Ktoś tłukł się buciami przez sień, jakieś bosc stopy klaskały i dudniły, skrzypiały i trzaskały drzwi, a czyjś krzyk wzburzał się nagle i przepadał, poniesiony w inną stronę domu.

Na nozdrzach i ustach osiadł cikliwy zapach stęchlizny, a oczy zbiegły się z zielonemi szybkami, przez które oficyna patrzyła w sad. Oddech wydźwigał się opornie zpod ciężaru nawet przez sen nieodjętych smutków, więc niechęć do dnia, który szedł, przytrzymała w łóżku.

Tymczasem pokój wypowiedał się od kąta do kąta. Stara orzechowa umywalnia przykucnęła na krążkach nóżek, ściana przygarnęła na bok przechyloną jesionową szafę, a niby jamniki na krzywych łapkach, stały fotele. Okrągły stół ujawniał również kalekie tendencje i zjeżdżał białem na skos, jak zawadjacki kaszkiet. W żółtych fladrach mahoniowego łóżka tlił bezsilny płomień.

I jeszcze dopominały się o uwagę stare, wilgocią zaciekłe sztychy. Małą główkę Marji Stuart niosła na szafot biała koronka kołnierza, Anna Boleyn klęczała na rudej płamie, niby w kałuży, a rozumny koń księcia Józefa ploszył się nad śmiertelną głębią rzeki. Na przeciwległej ścianie biczowały bladego Spinozę mściwe pięście, wysuwające się z czarnego zaułka ghetta. Rzekłbyś, że to własne smutki żłobiły się kreseczkami sztychów.

Ale ostatecznie trzeba było przemyśleć i rozważyć i jakoś zrozumieć wczorajszy wieczór. Policzki rozpiekły się oburzeniem:

— No tak, dla mnie teraz oficyna! We dworze zabrakło już miejsca!

Franek wyskoczył z łóżka i otworzył okno. Zmurszałe ramy opadły na zawiasach, jak osłabłe, niczem nieporadne ramiona. Ale zielony, miękki chłód zmył gniew. W kwadrans później szedł już Franek długą ścieżką, werzniętą w kosmaty, niby popiołem przysypany szpaler agrestowych krzaków. Słońce dobierało się do oczu poprzez gipiurę mizernych liści jabłoni i grusz, wysoka trawa parowała i lśniła się, jak staw, a gdzieś zprawa czy zlewa zapluskał przyśpiewek ptaszka.

— Wszystko jest głupstwem, skoro śpiewa ptaszek, a sad jest zielony!

Za błyszczącą, niby mosiądz, ciszą sadu ruszyły się jakieś głosy, zadźwięczały żelastwem gospodar-

skie narzędzia, gwałtowała niesforność parobków. Franek przyśpieszył kroku, już ciekawy tych spraw, które się niosły wrzawą po folwarku.

— Zielono. Słońce. Rumor gospodarski!

Szeroki śmiech roztworzył usta ku gorzkawemu smakowi poranka.

Boczną ścieżką wiódł lekki spad do inspektów. Tam, jak kot w łaźni, okleił ciało żar słońca, a zapach malin, poziomek i truskawek całował różowemi wargami. Wtedy, jakby zanadto zaważył ciężar własnego ciała. Wyczuwało się swoje ramiona, stężałe w napięciu mięśni, dwie wargi dotykały się wzajem, niby dwoje obcych ust, mgła na oczach głaskała cudzą ciepłą powieką. Rozdwoiły się zmysły — od siebie i ku sobie, i leniwe zadowolenie omotało, jak płachtą.

W cieplarni trwał duszący zapach dymu, niewywietrzonego po zimie. Doniczki przysiadły rzędem na półkach, niby bure kokosze, wążkami piórkami strzępiły się jakieś szczepki, a w skrzynkach nad aksamitem ziemi zielenił się drobny deseń ledwie zeszytych roślinek. Polewaczki wyciągnęły sztywne dzioby, sprzęt ogrodniczy, zgarnięty w kącie, przypominał jakieś dziwaczne srebrne ryby i czarne raki.

Franek usiadł na ławce pod ścianą szyb i patrzył na bzykający, śmieszny taniec wielkiej muchy. Wesoła i nieprzytomna uderzała w szyby, wybijając takt monotonnej muzyce swoich skrzydeł. Napelniło się tem graniem ciepłe powietrze i można tu było usnąć, albo cicho umrzeć.

Ale właśnie upomniała się niespokojna myśl o swoje prawa. Cieniutką, złośliwą igielką ukłuła w senny mózg: Czy już wiesz teraz, jak się mają kalinićkie sprawy? Nie, jeszcze nie wiesz dokładnie, tylko się domyślasz. Ale gdy się domyślasz — to już chyba wiesz. Więc ta panna, ta właśnie zdobyta w kwiecie jabłoni? Prawda, że trzeba się śmiać ze swojej głupoty? I ten wczorajszy wieczór? Co? — ten wieczór!

Ironicznie bolesne grymasy cięły się po twarzy, bo to naprawdę trzeba być głupcem, żeby tego nie zrozumieć odrazu i głowić się nad tem do tej pory! Natrętne buczenie młynka w mózgu i nagle — stop! Nic się z tego nie wymieie.

— Nie jestem przecież tak mało wart, by się łachmanić i rozżebrać. Bo, co to może mnie, mnie obchodzić? A zresztą — zobaczymy. Zobaczymy!

Franek wstał, wyszedł z cieplarni i prędko minął obezwładniający upał inspektów. Po świeżości sadu przegnał lekki wiatr, a białe pnie drzew owocowych wyginały się, niczem bajadery w tańcu brzucha. Deptana trawa zachrzęściła soczyście.

I nie już nie przeszkadzało, że przy śniadaniu trzeba było patrzeć na brązową twarz ojca, na czarne rzęsy panny Hali. Gdy się już wszystko zrozumiało, oczy mogły się rozzuchwalić. Wyzywający uśmiech przepłynął ponad siwiejącą głową ojca i na dobrą chwilę można było ucieszyć się różowością paznogi Hali. To jedno tylko, że zapach kwiatu jabłoni wywietrzył. Hala miała na sobie białą suknię w liljowe kwiatki i napewno była niemniej piękna, niemniej obojętna. Jej głowa miała już raz nazawsze wyznaczony kierunek: w stronę ojca. Cokolwiek Franek mówił, prznosił ten jej ruch — ojcu. Poprostu, nie chciała, żeby to było do niej. Ale ta oczywista nieuprzejmość nie potrafiła obrazić Franka. Coś w niej było nieszczerzego, coś śmiesznego i raczej napępniało przekornym zadowoleniem: Napewno nie jest jej przyjemnie, że tu jestem, że to widzę!

Zato ojciec wyglądał, wyczesywał nastrój. Nic po nim nie można było poznać, tyle tylko, że inaczej modulował głos dla Hali, inaczej dla syna. Każdemu to, co się należy. Dla każdego jego osobne sprawy. Powiedział wreszcie:

— Twój koń osiodłany, dasz sobie jeszcze radę, co?

I to było niewątpliwie miłe, że już zaraz pomyślał o wierzchowcu dla syna. Franek powinien więc być okazać jakąś wdzięczność, ale właśnie dobrze było, że mógł wesoło podziękować:

— Wolę pójść pieszo — może do Sozańskich, może do lasu.

I było także dobrze, że agatowe oczy Hali rzuciły w niego błyskiem gniewu. Będzie to robił, co mu się spodoba, nie zastraszą go tu we dwoje!

Ojciec dmuchnął dymem papierosa i omroczył się siną chmurą. Może był teraz również niezadowolony? Cóż mogło Franka to wszystko obchodzić? Niech sobie to tłumacza, jak chcą, niech się obrażają! Tem lepiej!

XIII.

Franek szedł, gwizdząc jakieś wesołe melodie. Minał smrodliwe czworaki, i gadatliwe szuwały na bagnisku. Od drogi zahukał młot kuźni i mostek mrugnął dziurami.

— Taka tu gospodarka — ironizował — te same zgniłe deski, co przed trzema laty.

We wsi było tak cicho wśród chat, jakgdyby na długiej ulicy biały dzień ułożył się do snu. Na szynbach okien, za gazą kurzu ledwie barwiły się spłowiałe dzwoneczki fuksji, albo prószył ciemnymi listkami mirt. Psy, zmęczone całonocnym ujadaniem, leżały zwinięte w kłębek, łypiąc na przechodnia czerwonymi źrenicami. W bocznej ulicy chmurzyły się nad sta-

wem wierzby i stamtąd też zaczęły głośno dziecięce. Żółte główki dzieci obsiadły staw, jak małe kaczuszki.

Odnawiały się wspomnienia Franka na owalnych blachach z św. Florjanem nad drzwiami chat, na wysokich prętach malw, na zawsze tych samych szmatach, oblepiających płoty. Kwaśnym razowym chlebem i serwatką pachniała mu wieś.

Wbok zdeptanym placykiem uskoczyła droga i drewniana cerkiew zasrebrzyła się sztywnymi falbanami dachu i przydaszków. Białe ściany plebanji pobladły w cieniu drzew, a nad wątłymi pniami róż jaskrawiły się szklane kule. Wreszcie zaczerwienił się karbowany dach szkoły. Wydłużony front cofnął się za ogródek, za serduszka i gwiazdki grządek. Kwitły tam zpańska lewkonje i goździki, liljowiły się krzaki floksów, żółciły się, jak miód, cynje.

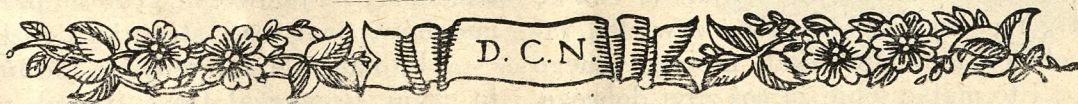
Nad drzwiami pod daszkiem, niby w gołębniku, zielenił się szkolny dzwonek. Milczał teraz i trwał sztywną spódniczką, ale Franek wiedział, jak potrafi dzwonić wiercąc i niezaośnie.

Furtka sapnęła; nowe, żółte buty Franka zaskwierczały na świeżo wygracowanym żwirze. Franek obszedł budynek i stanął przed gankiem. Powój wyciągał tu różnokolorowe główki i zniecka zachrypiało szczekanie psa. W zielonym mroku uchyliły się drzwi, a ze szpary wysunęła się siwa głowa, niby kłębek białej bawełny.

Franek trząsał się od wewnętrznego chichotu, bo pan Sozański, ujrawszy obcego, wyszedł w lansadach, niczem Cześćnik z „Zemsty“. U białego płócienego surduta brakowało paru guzików — wedle zwyczaju. Czarne oczy zmrużyły się ku twarzy Franka i — oczywiście — ramiona rozścieliły się teatralnym gestem i — oczywiście — pulchne, zgrzane ręce przyłgnęły do policzków, a wślad za tem mlasnął pocałunek.

— Franek! Jak Boga kocham — Franek! To się dopiero Klima i Natalka ucieszą!

I już pchał Franka zdyszany entuzjazm nad maturą, nad zmęgnięciem. W sionce zastąpiły drogę konewki z wodą, kosze z obierkami, zwęglony półkrążek kocuuby. Stary, mnożąc drobne kroki, pobiegł po córki. Tymczasem Franek liczył koślawe deski podłogi w saloniku. Wszystko tu było dobrze znajome i wytrwale niezmiennie. Ze stołu zwisał frendzlami ten sam biały obrus szydełkowej roboty, a wśród kędzierzawej trawy patarałki gnieździła się ta sama lampa z włózkowym kanarkiem na kominie szkiełka. Kanarek miał tylko jedno czarne perełkowe oczko, bo drugie — o, hańbo! — Franek wydłubał, gdy go raz nieopatrznie zostawiono samego wśród tych cudów włóczki, muszelkowych ramek i niebieskich szklanych flakoników.



EWA SZELBURG - ZAREMBINA

RYDLE ŚW. ISAAKA

Gdy święty Isaak zapragnął żyć życiem, mi-
łem Bogu, porzucił gwarne i pyszne bogactwy swe-
mi, a rojne grzechem miasto, i wyszedłszy zeń przez
bramę południową, szedł prosto, jakoby kamieniem
rzucił.

Gdy uszedł w ten sposób spory kęs drogi, przy-
stanął, a przystanąwszy, obrócił się wstecz i pa-
trzył. Dojrzawszy we mgle oddalenia mury miasta,
przez się opuszczonego, rzekł:

— Nie tu jeszcze — i ruszył dalej.

Gdy nogi jęły mu odmawiać posłuszeństwa,
a zmyliwszy kolejność swą w stąpieniu, poczęły krok
gmatwać i utykać, przystanął Isaak po raz drugi
i znów obejrzał się poza siebie na miasto, z którego
był wyszedł. Mury owego miasta znikły już wpraw-
dzie z przed jego oczu w zieleni sadów a pagórków
łącznych, ale cień smukłych wieżyc i dachów do-
mostw co wyższych widzian był na błękitnie niebios.

Rzekł tedy Isaak:

— Jeszcze nie tu — i poszedł prosto dalej, nie
zatrzymując się, ani zbaczając.

Szedł w taki sposób dotąd, aż wyzbył się cał-
kiem sił swoich i niemal bez czucia opadł znużo-
nem ciałem na przydrożne kamienie, leżące tu dłu-
gą i wysoką przyzłą.

Właśnie po żółtej spiece dnia zstąpił był wie-
czór jasny i przezroczystry od rzeźwego chłodu. Zim-
na rosa okryła obficie rozpalone glazy, a zbierając
się, sutą wilgocią w ich szczelinach i zagłębieniach,
dozwoliła ugasić sobą pragnienie spieczonych ust
Isaaka.

Gdy teraz wędrowiec obrócił twarz swą ku
dalekiemu miastu, już go nie ujrzał wcale.

Odetchnął przeto z ulgą i rzekł uradowany
wielce:

— Oto nareszcie tutaj!

Poczem, rozejrzawszy się po okolicy puste-
j i okrytej nieużytkami, wielbił w sercu swem nie-
widzialną dłoń Boga, która przywiodła go w to miej-
sce ciche i odludne.

Upadłszy na kolana pośrodku milczących gla-
zów, modlił się głośno i żarliwie i na modlitwie tej
przetrwał do rana.

Po nocy, strawionej bez snu, bez jadła i bez
odpoczynienia, gorliwy sługa boży Isaak stanął do
żmudnej dziennej pracy, skoro tylko wzeszło wy-
poczęte i rumiane słońce.

Glazy wielkie i drobne kamuszczyki dzwigając,
nosząc, dopasowując i składając starannie, chatkę
sobie uklecił z trudem wielkim, ale i z wielką ra-
dością, i w chatce tej zamieszkał, niczego innego
nie pragnąc, a i to mając sobie za coś zbyt dobrego.

W pustkowiu tem daleki będąc ludziom, stał się
bliski Bogu.

Jednako wciąż przesuwane się godziny były
mu ojczenaszami, minuty zdrowaškami, a dzień ró-
żańcem, kończącym się zawsze zbyt wcześnie.

Przecież i tu zwiedzieli się o nim ludzie. Po
niejakim czasie dokoła niego zebrało się niemało
takich, którzy, przykładem świętobliwym i nauką
do żywota niebieskiego się zapaliwszy, żywot ziem-
ski wieść chcieli bogobojnie. Ci przy nim uczniami
jego się stali.

I tak zostali oni, wspólnym już domem ka-
miennym objęci i wspólnym dachem klasztornym
nakryci.

Mizerny to był klasztor i pustacją wokół a su-
rowemi nieużytkami otoczony, przeto w rychłym
już czasie jęli uczniowie upominać pokornie Isaaka,
iżby na wyżywienie braci swej przyjął jakie dobra,
które mu ludzie zasobni dla miłości Bożej a swego
zbawienia ofiarowywali.

On jednak, tak przywiązany będąc do skarbu
ubóstwa, jak drudzy bywają przywiązani do bogactw
znikomych, bał się go utracić, mniemając, i słusznie,
iż mnich, który dzierżawy szuka, mnichem nie jest.

Tedy, iżby braci swej zadość uczynić, woli Bo-
żej i mniszej powinności nie naruszając, na inny
wziął się sposób. Oto rozdał pomiędzy uczniów swo-
ich i towarzyszy, z nim osiadłych, rydle oraz mo-
tyki, a zakreśliwszy szmat ziemi nieuprawnej wokół
klasztoru, rzekł:

— Tu będzie śpichlerz nasz i nasza szafarnia.

Poczem krzyżem świętym przeżegnałszy zie-
mię, rydel w nią zapuścił.

Od dnia tego Isaak pierwszy stawał do pracy
i ostatni schodził z pola. Uczniowie zaś, widząc gor-
liwość jego, także się pilnie do rydli przykładali
i tak naprzemian modląc się i kopiając, w prędkim
czasie grzechny szmat ziemi pod sad i warzywnik
ku posilaniu ciała owocem i jarzyną uprawili.

A jako że Bóg błogosławił zbożnej pracy ogra-
dników, wszystko na ziemi tej jałowej obrodziło
nad podziw pięknie i obficie.

Pewnego dnia, gdy Isaak, obchodząc czysto wy-
gracowane ścieżki warzywnika, naglądał, czyli ro-
śliny dostatecznie są przed skwarem napojone, za-
frasował się i zakłopotał wielce, albowiem Pan Bóg
odkrył mu nagle, iż na ogród klasztorny napadną
nocy tej złodzieje, a wszelki owoc, z trudem wy-
wiedziony z jałowego gruntu przez pracowitych
mnichów, poniszczą, stratuja i rozkradną.

Po namyśle, nie mówiąc nic braci swej, czemu
to czyni, przykazał Isaak przed wieczorem kilka

rydlów zostawić w ogrodzie. Sam zaś spokojnie z braćmi odszedł na modlitwę, a potem na sen.

Rano, zbudziwszy się, szedł Isaak do brata, który dnia tego kucharzył, i rzekł mu:

— Bracie Jakóbie, zgotuj śniadanie obfitsze, niżli wczora, albowiem musimy posilić pilnych robotników, którzy we czterech noc całą w ogrodzie naszym pracowali.

Zadziwił się brat Jakób, mowę takową słysząc, ale w posłuszeństwie obfitsze jadło zgotował.

Gdy wszystko było gotowe, przywołał Isaak dwu braci, na których dnia tego spoczywał obowiązek posługiwania drugim, i rozkazał im nieść naczynia z jadłem do ogrodu, mówiąc:

— Pilni robotnicy nasi zmęczeni są całonocnem kopaniem i głodni. Bracie Filipie i bracie Longinie, śpieszcie nakarmić ich do syta.

Braciszkanie, dziwiąc się w duszy takiej mowie, jako że nigdy w klasztorze żadnych robotników nie bywało, wzięli naczynia z jadłem i szli w ogród.

Aliści zdumienie ich było wielkie, gdy znaleźli

tam tylu robotników, w pocie czoła pracujących, ile rydlów byli zostawili wieczorem na rozkaz Isaaka.

Bowiem ci, którzy nocą kraść owoc klasztorny przyszli, skoro tylko znaleźli się w ogrodzie i rydle te ujrzeli, nie mogli się byli powstrzymać, aby ich nie dotknąć. A gdy tylko ręce ich złodziejskie i próżniacze spoczęły na rękojeściach, przez pracowite dłonie bożych ogrodników wygładzone, natychmiast przemieniło się w nich złe serce, i nowa, święta, bogobojna siła wstąpiła w żyły ich i mięśnie.

Tedy zapął pracy poczuwszy w sobie, a widząc szmat ziemi nie ruszony jeszcze, jęli się kopania i kopali bez spoczynienia w ogniach i w pocie ową noc całą, aż do rana, póki święty Isaak nie podszedł do nich z posługującymi braćmi, Filipem i Longinem, i nie rzekł:

— Spoczniście, mili robotnicy. Pracowaliście dosyć i zmęczeni jesteście. Jedźcie i pijcie.

A gdy ci w pokorze zjedli i wypili, co im dano, święty Isaak co soczystszych owoców i co mączystszych jarzyn z ogrodu dał im, i napomniawszy łagodnie, bez grzechu do domów ich odesłał.

STEFANJA PODHORSKA—OKOŁÓW

W WILNIE I DWORACH LITEWSKICH

Czyście zagłądali kiedy świątecznym wieczorem w oświetlone okna parterowych dworców małego kresowego miasteczka? Czyście z chorobliwą niemal ciekawością nie zanurzali wzroku w magiczne koło obcych, nieznanych istnień, zamknięte bursztynowym kręgiem lampy naftowej? Ponad doniczkami z geranium, przez mgłę muślinowych firanek majaczejną na ścianach widma starych kopersztychów, w zakurzonych serwantkach gną się w takt menueta figuryнки z saskiej porcelany. A naokoło stołu kolekcja staroświeckich fryzur, wypłowiałych surdutów, niemodnych sukien, zdobnych gdzieniegdzie bezcennym strzępem prawdziwej koronki, wyblakłych twarzy, dawno wycofanych z obiegu. Autentyczne numizmaty fizjonomistyki! A na spękanej politurze mahoniowego blatu obok patarafka, haftowanej perełkami w gołąbki i niezapominajki, zwiędła, pomarszczona ręka w siatkowej mitence przerzuca poźółkłe kartki pamiątnika...

Przeszłość, niepowrotna przeszłość ożyła tam, za szybami. Jesteśmy pod jej urokiem. I gdyby nagle wówczas zadudniła po wybojach miasteczka zapóźniona beczka woziwody, gotowi byłibyśmy przysiąc, że to poszóstna karoca, a w rozpiętej na obręczach budzie żydowskiej „bałagoły“ dopatrywalibyśmy się zarysów odwiecznego dylizansu...

Takiem czarodziejskiem oknem, otwartem na wnętrza dworców i pałaców z przed stu laty, jest Pamiątnik Gabrjeli z Güntherów Puzyniny, którego pierwszą część p. t. „W Wilnie i dworach litewskich“



Ignacy hr. Tyzenhauz (według minjatury Lessera)



*Celina z Sulistromskich Konstantowa ks. Radziwiłłowa
(według litografji nieznanego autora)*

(1815 — 1843) wydali Adam Czartkowski i Henryk Mościcki nakładem Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

Otwórzmy tę grubą, bogato ilustrowaną, pięknie stylizowanymi czcionkami drukowaną książkę. Uchylmy rąbka przeszłości. Oto wizja wspomnienia z lat dziecinnych autorki: siedziba dziadunia Tyzenhauza w Rakiszkach.

„Widzę... pałac w stylu włoskim ze wschodami nazewnątrz i z kopułą obitą blachą, świecącą na słońcu, którą zwałiśmy po dziecinnemu bombelą, zbierając z ziemi blaszki łamiącego się dachu, które z domu spadały, — i ów piękny młyn holenderski z kamienią i kościół murowany, patrzący oko w oko pałacowi. Pachną mi dotąd bukiety rezedy, lewkonij, goździków i róż, odnawiane codzień na gotowalni mojej matki. Stoją mi w oczach te duże pokoje, a w nich obrazy mistrzów i sala z freskami egipskimi i ów gabinet mały, gdzie dziadulko uczył czytać Idalkę, znacząc litery trześniami...”

A oto obrazek odmienny: dwór w Niestaniszkach poważnej matrony, pani z Kontrymów Święcickiej.

„Dom nosił cechę staropolską: dach był łamany z wysokimi szczyty, wewnątrz wysoko stalowane izby, okna duże, a w sali jadalnej, trzymającej środek domu, drzwi szklane prowadziły do ogrodu, którego ozdobą — stare kasztany. Na oknie w bawialni leżały kokosowe jabłka, na stole — dzieło księdza Kluka, założone próbką farbowanej w domu wełny. Kan-

torki były rococo, a piece na dużych toczonych nogach, którym, biorąc je za szachy, dziwiłam się, że takie duże i że pod piecem”.

Już w tych dwu urywkach uwydatniają się dominujące cechy umysłu autorki: niesłychana spostrzegawczość i zdolność utrwalania w pamięci najdrobniejszych szczegółów, przyczem wszystkie fakty i osoby traktowane są jakby na jednym planie. Jest to prawdziwy odmet drobiazgów, las zdarzeń i ludzi, labirynt ploteczek, wiecznie wirujące koło życia towarzyskiego, które w oświeceniu Puzyniny wydaje się rzeczą najbardziej istotną, osią wszystkich wysiłków, centralnym punktem sentymentów i zainteresowań ówczesnego ogółu, nie tylko kobiecego. Zupełnie jakgdyby ktoś przewrócił koszyczek z robótkami i posypały się bezładnie różnokolorowe włóczki, jedwabie, paciorki, perelki, kłębki nici i pasemka szychu. Zza tych skarbów jednodniowych nie widać wzoru tkaniny: zatraca się tło historyczne pod nawalem zabaw, balów, kuligów i pikników, festynów, odwiedzin, herbatek, ślubów, chrzcin, imienin, pogrzebów, kondolencyj, — zbiorowych spacerów za miasto i samotnych przechadzek w wiejskim zaciszu, całej tej romantycznej maskarady ludzi bogatych, wolnych od troski o byt powszedni, kulturalnych, często utalentowanych oportunistów, idących po linii najmniejszego oporu ku ideałowi życia, w najszlachetniejszym zresztą tego słowa znaczeniu.

Ale jacyż są inni od nas, jak odmienną skalą ich wzruszeń, o ileż bardziej bezpośredni są w swoich odruchach, żywiołowi w pasji, wierniejsi sobie, bliżsi własnej natury, dalsi od szablonu. Oświeceni barbarzyńcy! A może to zasługa autorki, która kilkoma trafnymi pociągnięciami z każdego spotkanego człowieka stwarza typ, tryskający życiem, kolorytem epoki, nieklamany, a dyskretnym humorem.

Przypatrzmy się chociażby pobożności tych ludzi! Gdzież dziś znajdziemy taką damę, bardzo czytana, a nawet uczoną (umiała, podobno, po łacinie i po grecku), która, gdy modlitwa jej nie odnosiła skutku, wyprawiała ze swego oratorjum obrazy święte na pokutę do przedpokoju; albo inną, bardziej jeszcze radykalną, która, napróżno błagając w modlitwach o pogodę, w ostatecznej pasji wyniosła obrazy święte na deszcz ze słowami:

— Moknijcie, rybeńki, i zobaczą, czy to miło!

Albo ten hrabia Iliński, szambelan i senator, który utrzymywał korespondencję z Najświętszą Panną, składając listy, przez siebie pisane, od Niej i do Niej, na ołtarzu i przykazując kapelanowi, aby je głośno czytał przed zgromadzonym ludem. Ten bogacz i bigot, który w swoich dobrach na Wołyniu, niby w drugim Oberammergau, urządzał widowiska pasyjne, biorąc na się rolę Cyrenejczyka, a w Wilnie, co niedziela w kościele dominikańskim leżał krzyżem na poduszkach aksamitnych, świecąc kluczem szambelańskim na połach munduru, który żebraczką przy-

chodziły pobożnie całować, jako klucz do nieba, sądząc, że z samym św. Piotrem mają do czynienia.

Tę samą rozbijającą poufałość i nonszalanję stosują ówczesni ludzie i do możnych tego świata, a czynią to z wielkopańskim gestem ludzi dobrze urodzonych i nie odczuwających potrzeby płaszczenia się przed nikim.

Oto księżna Wojewodzina Radziwiłłowa, twórczyni Arkadji, opiewana przez Delille'a w jego „Ogrodach“ przedwcześnie osiwała piękność, która w srebrne włosy świeże wtykała róże, — nie żenowała się bynajmniej z w. ks. Konstantym i, mówiąc o nim lub do niego, nazywała go publicznie „Hurluberlu“. A gdy raz „Hurluberlu“ ofiarował jej sanki swoje na szlichtadę, a siebie za woźnicę (a było to na balu), księżna, zwracając się do policmajstra, rzekła mu, wskazując na Wielkiego Księcia: „Nie sadź tego młodzika do kozy, bo to mój furman“.

Inny epizodzik. Cesarz Aleksander podczas bytności w Wilnie składał wizyty znajomym damom. „Gdy się znajdował u pani szambelanowej Sulistrowskiej, siostrzenica jej, hrabianka Wielhorska, nalewając herbatę, spytała Cesarza, jaką ma nalewać dla niego, on odpowiedział: „Jak się pani podoba“, a gdy podała mu filiżankę, daremnie Najjaśniejszy Pan kręcił łyzeczką: nie mógł się dopytać smaku. „Czy mi się zdaje — rzekł do pięknej Hebe — że cukru w herbacie niema?“ — „W rzeczy samej niema“ — odpowiedziała panienka. — „A to czemu?“ — spytał zdziwiony Cesarz. — „Bo mi to Najjaśniejszy Pan pozostawił do woli, a mnie się podobało nie dać cukru wcale“.

Nadmienić należy, że ta odpowiedź hardej panienki mocno się podobała Cesarzowi, znudzonemu powszechną uniżonością.

A rozmowa pani Goreckiej, matki bajkopisarza Antoniego, z Nowosilcowem, czyż nie jest warta przypomnienia? Nowosilcow odwiedza chorą panią Gorecką. Ona go grzecznie zapytuje o zdrowie.

— A cóż — odpowiada jej — szelmy Moskala i djabli nie biorą!

— Wiesz co, generale — odrzekła na to nieustraszona matrona — tak mocno cierpię, że nieraz zgodziłabym się być szelmą, nawet Moskałem, byle być zdrową!

Ta pewność siebie, ta pełna godności postawa imponowała wschodnim magnatom, z których niejedną głowę stracił dla wileńskiej piękności. Z pełnym niesmaku podziwem słuchamy jednak opowiadań o tych polskich pannach, które tak łatwo rzucały dom rodzinny, narzeczonych, ziemię ojczystą dla kariery i tytułu rosyjskiego księcia. Jest w zawieraniu tych małżeństw mieszanych jakiś dziwny konglomerat życiowego wyrachowania z romantyzmem uczuć.

Panna Walentynowiczówna wychuchała sobie kółko w zamarłej szybie, patrząc na wojsko, idące na paradę. Tak ją zobaczył książę Zubow i zakochał



Sergiusz hr. Stroganow, gubernator wojenny Mińska w 1831 r. (według fotografii Oziębłowskiego z rysunku A. Klubowskiego)

się z punktu. Romansik gotowy, ale „pełna taktu matka umiała tak się znaleźć z wielkim panem, iż ten, nie mogąc przystąpić do pięknej panny inaczej, jak w roli pretendenta do jej ręki, nie poprzestał na próżnym bałamuctwie“.

Romantyczność sytuacji podnosi fakt, że panna Tekla była już zaręczona z innym, a ponieważ narzeczony bawił na wsi, nie chciała jechać na kasyno. Jakby w przeczuciu decydującego momentu w jej życiu i „gdy matka zmusiła ją do tego, nie obeszło się bez łez. Ubrana w białą suknię, z ponsowym kwiatkiem w kruczych włosach, wsiadła z matką do karety, była razem rzewna i blada, a z tem wszystkim „ładna błaznica“ (mówiła matka w konfidencji przyjaciółkom). Dla przywrócenia kolorów matka parę razy palnęła ją w białe liczka i tak wprowadziła na salę Müllerów, gdzie jej los miał się rozstrzygnąć od pierwszego spojrzenia!“

Dalszy ciąg, jak w powieści: pierwszy narzeczony zrzeka się swoich praw do ręki panny Tekli, która rychło zostaje księżną. Ale w rok po ślubie umiera książę, a we dwa lata po ojcu córeczka. Palec Boży! Jednak piękna, choć umysłowo bardzo ograniczona matka nie łamie się pod ciosem nieubłaganej Nemezis i w parę lat później wychodzi zamąż za hrabiego Szuwałowa.

Echa wielkich wypadków dziejowych (powstanie 30 — 31 roku) dziwnie miękną i głuchną w wywatowanych, wypikowanych atłasem gniazdkach dobrze wychowanych panienek, malujących akwarelą

i haftujących perełkami. Cóż miały zresztą robić biedaczki? Chyba odłożyć robótkę i jąć się skubania szarpi, albo.. albo pisać pamiętnik. Nie każda przecież mogła być Emilją Plater, natomiast niejedna „próżna pani w polonezie z gubernatorem otrzymała uwolnienie więźnia. Panna Mackiewiczówna takiemu polonezowi i takiej pani winna była swój paszport, który ją złączył zagranicą z ulubionym i narzeczonym Edwardem Odyńcem“.

Ze zgorzeniem wspomina autorka pamiętnika o tych pannach i wdowach z Wilna, co „uległy pokusie srebrnych epoletów, czarnych wąsów i tytułu księcia i nim ucichły armaty pod Wolą, one już przysięgły wrogom dozgonną miłość u ołtarza“.

Na tle prześladowań, ucisku i przygnębienia, w jakim pogrążona została po powstaniu Litwa, subtelnymi rysami odmalowała autorka ewangeliczną postać generała Stroganowa, gubernatora mińskiego, opiekuna polaków, którego po roku sprawowania rządów odwołano do Petersburga. Rozbrajającą naiwnością i nieświadomym oportunizmem tchnie końcowy wykrzyk, którym autorka zamyka długą listę dobrych uczynków generała: „Gdyby takich ludzi więcej, toby może i powstania nie było!“

Czyżby to był wyraz uczuć pewnej warstwy społecznej, która powstanie traktowała przedewszystkiem, jako dopust boży?

MARJA DOBROWOLSKA

WAKACJE MATEK

Minęło wiele dziesiątków lat, odkąd filozofowie i lekarze, pedagogzy i laicy zajmować się zaczęli kwestją wychowania i zdrowia dzieci i młodzieży. Wypisano tysiące tomów, zwołano setki kongresów, wygłoszono kilometry mów i odczytów, aż wreszcie sprawa wychowania i zdrowia najmłodszych pokoleń stała się znaną wszystkim i uznaną za jeden z najważniejszych postulatów życiowych każdego narodu. Zdrowe i normalnie rozwinięte młode pokolenie — to bogactwo i przyszłość każdego narodu.

To też ustawodawstwa poszczególnych państw, instytucje społeczne oraz jednostki o wybitnej humanitarnej wrażliwości zajęły się gorliwie zorganizowaniem opieki nad zdrowiem i rozwojem dzieci i młodzieży. Ogarniając całokształt tej opieki, od niemowlęctwa aż do ukończenia dyplomowych studjów, musiano wziąć pod uwagę ważny okres w życiu każdego dziecka: wakacje. Robiąc doroczną przerwę w naukach, w okresie letnim, pomyślano o zorganizowaniu odpoczynku na powietrzu dla dzieci, jako organicznej rekompensaty za zużyte siły w roku szkolnym i jako przygotowanie tych sił na następny okres przyszłych trudów. Objęto opieką sfery dzieci i młodzieży niezamożnej. Powstały na całym świecie ogródki Jordanowskie, ogrody Rau'a, kolonje i półkolonje letnie, zagonki dla dzieci i, jako wyraz powojennej epoki, przeróżne obozy harcerskie i przysposobienia wojskowego.

Poza wakacjami letnimi, zapewnionemu młodeму pokoleniu przez ustawodawstwa wszystkich państw, nadano również wszelkim płatnym pracownikom prawo korzystania z urlopu na pewien ściśle określony czas. Każdy więc członek społeczeństwa ma prawo i powinien raz na rok korzystać z odpoczynku,

ażeby umęczony organizm nabrał nowych sił, a starzane nerwy stopniowo wróciły do równowagi.

Istnieje jednak kategoria pracowniczek, które w swoich zajęciach zawodowych nie mają nigdy odpoczynku — to matki!

Nie można tu brać pod uwagę tych nielicznych wybranek losu, które mają przy wychowaniu dzieci pomoc w osobach wychowawczyń, nauczycieli lub starszych członków rodziny. Ich macierzyństwo ogranicza się do mniej lub więcej przykrego okresu ciąży i łatwiejszego lub trudniejszego urodzenia dziecka. O nich tu mówić nie mamy zamiaru.

Tu chodzi o kobiety - matki ze wszystkich sfer społecznych; o matki, które, poza ciążą i urodzeniem dziecka, muszą wziąć na siebie trud jego wykarmienia i wychowania. Tu chodzi o te ich niezmiernie długie dnie i jeszcze dłuższe noce zmęczenia, niedospania, obawy i niepokoju, przeplatane promieniami radości, kiedy to własne dziecko tuli w ramionach i szepcze tkliwe słowa. O te ich wszystkie zabiegi i starania dla dobra i szczęścia dziecka, tak często okupione rzewnymi łzami. O te ich drobne codzienne, cogodzinne prace, związane z wykarmieniem, wypielęgowaniem i wychowaniem dziecka — prace, nie znające przerw, bo są *naturalnym obowiązkiem matki*. Ale, że przy spełnianiu tych naturalnych obowiązków, radością i troską przeplatanych, męczy się ciało, szarpia nerwy, wyczerpuje dusza — o tem się nie myśli, nie mówi, bo to jest konsekwencja obowiązków matki!

Wprawdzie ustawodawstwo roztacza opiekę nad pracującą ciężarną i karmiącą kobietą; są stacje opieki, nietylko nad dzieckiem, ale i nad matką; dotyczy to jednak tylko pewnej warstwy matek, a całe ich ogromne rzesze pozostawione są w zapomnieniu. Przy-

zwyczajono się bowiem, w rodzinie, że ojcu i mężowi pracującemu należy się odpoczynek codziennie na chwilę, co święto, oraz urlop latem. Ale o tem, żeby matka i żona miała przerwę odpoczynkową przy spełnianiu swoich obowiązków domowych — o tem się czasem tylko szepnie!

Jeżeli matka pracuje zarobkowo — dostaje urlop i wyjeżdża; jeżeli wysyła ją mąż, to takie wyjazdy zawsze są połączone z wyjazdem dzieci, a obowiązki, z nimi związane, „wyjeżdżają“ razem, często na letnisko o wiele żmudniejsze, niż w domu. Jednak poza matkami, mającemi możność wyjazdu i względniego choćby wypoczynku, są legjony matek, które obsługują same całą rodzinę: gotowanie, pranie, sprzątanie, szycie, na wsi oprócz tego obsługa inwentarza i t. d. — to są ich dni, miesiące, lata. Wprzęgnięte w kierat życia, nie marzą nawet o tem, żeby mogły kiedy odpocząć. Ten stan rzeczy wrósł już tak w społeczeństwa, że mało kto o jego zmianie pomyśli.

Wiadomo, że najśmielsze, a zarazem najbardziej humanitarne pomysły przychodzą do nas zza oceanu: z praktycznej i pracowitej Ameryki. Stamtąd padło piękne hasło „dnia Matki“, tego publicznego hołdu, składanego jej przez Czerwony Krzyż Młodzieży. Tam też pomyślano i o wakacjach matek.

Przewodnicząca Westchesterskiego prowincjonalnego wakacyjnego Komitetu, p. Chester Geppert Marsh, oddawna nosiła się z myślą zorganizowania wakacyj dla matek pracujących. Chodziło jej o matki niezamożne, które nie mogą wyjechać do pensjonatu, gdzie zresztą dzieci widziane są niechętnie. Wynajęcie osobnego domku na krótki okres czasu jest również dla nich niemożliwe, a zresztą gospodarowanie i gotowanie w takich warunkach jest jeszcze trudniejsze. Wreszcie p. Marsh myślała o matkach, zarobkujących zupełnie samodzielnie, które nie mogą również rozstać się z dziećmi.

Odnalazła tedy duży, zniszczony dom, ślicznie położony wśród lasów nad rzeką Hudson, będący własnością głównego komitetu wakacyjnego, za którego zgodą doprowadziła go do stanu, umożliwiającego zamieszkanie w nim na lato.

W lipcu ubiegłego roku do urządzonego domu przybyli pierwsi goście. Zjechało kilkanaście matek i kilkadziesiąt dzieci. Z chwilą, przybycia na miejsce, dzieci odebrano matkom i umieszczono w specjalnych oddziałach pod opieką wykwalifikowanych opiekunek. Małe dzieci od 3 — 6 lat stanowiły pierwszą grupę; dzieci od lat 6 — 8 — drugą, a dzieci starsze — trzecią. Urządzono osobne sypialnie i jadalnie duże, skąd w razie słoty usuwano stoły i urządzano gry i zabawy. Dla matek przygotowano osobną wspólną sypialnię, jadalnię, pokój bawialny z pianinem, radjo, czytelnię i dużą werandę, zaopatrzoną w warsztat tkacki i przybory do koszykarstwa. Spacerki, kąpiele słoneczne i rzeczne, place do gier i lasy umilały pobyt.

Pożywienie było skromne, ale obfite i smaczne,

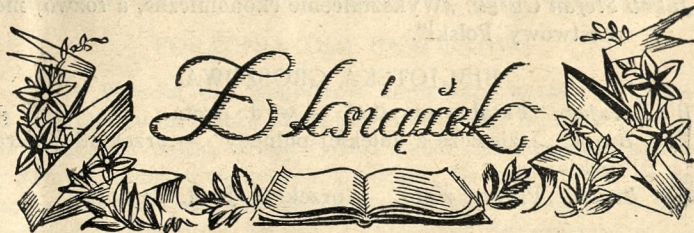
przyczem każda i każdy (z wyjątkiem 3-letnich maleństw) musiał sobie odbierać porcje z bufetu i odnieść naczynie.

Matkom wolno było przebywać z dziećmi tylko godzinę pomiędzy kolacją, a spoczynkiem.

W ciągu dwóch miesięcy wiele matek pracujących spędziło pod tym dobroczynnym dachem po dwa tygodnie, za niewielką opłatą. Razem z dziećmi, a jednak osobno — oto było mądre i szlachetne hasło! Odczucie i głębokie zrozumienie potrzeby racjonalnego odpoczynku matek pracujących przyniosło odrazu widome korzyści: poprawę i zadowolenie letniczek. Stało się więc zachętą do dalszej pracy w tym kierunku.

Aczkolwiek w pierwszym roku istnienia kolonji matek opłata była niewielka, a ilość gości stosunkowo nieduża, to jednak zarząd mógł się pochwalić całkowitą samowystarczalnością.

Czy i kiedy znajdzie się u nas instytucja społeczna, któraby, przyswoiwszy sobie tę tak racjonalną myśl, zechciała ją urzeczywistnić dla dobra Matek, którym się sprawiedliwie należy dobrze zasłużony odpoczynek?



Rose Macaulay: „Dwa oblicza“ — („Biblioteka Groszowa“ — Warszawa — str. 311).

Jakże nieścisty jest duchowy obraz człowieka, widziany przez jego otoczenie! Wystarczy najbłahsza okoliczność, ażeby dany człowiek ukazał nam swe „drugie oblicze“, nieznanne dotychczas nietylko innym, ale często — i jemu samemu.

Ze wszystkich postaci, występujących w książce, jedynie bohaterka zdaje sobie sprawę z dwoistości swej osobowości, gdyż specjalne warunki sprawiają, że dwoistość ta rozciąga się zarówno na jej duchowe, jak i na zewnętrzne życie. Dafne — Daisy Simpson nietylko zna najdokładniej swoje „dwa oblicza“, ale wyznacza między niemi wyraźną linię demarkacyjną, starając się ukazywać ludziom tylko jedno, oczywiste, to, które uważa za bardziej pociągające. Jednakże wysiłek okazuje się bezcelowy.

Nieoczekiwane odsłonięcie przed otoczeniem tego starannie ukrywanego drugiego oblicza doprowadza do katastrofy. Nie dlatego, że jest ono gorsze: dla jego drobnych ludzkich ułomności możnaby znaleźć wytłomaczenie. Ale — dlatego, że jest „inne“, obce, właśnie zupełnie niezgodne „z wyobrażeniem o nim drugich“.

I próżno jedna z tych trzech osobowości starałaby się zniszczyć dwie pozostałe i zacząć żyć na własną rękę. Żadnej z nich nie uda się także ukryć i wypchnąć tylko jedną na powierzchnię życia. Związane są nierozzerwalnym łańcuchem, z którym już przyszły na świat, i do śmierci będą musiały ze sobą współżyć, zjawiając się kolejno na widowni, stosownie do okoliczności.

Oto jest główny motyw powieści, którą czyta się z nieślabnącym zajęciem od pierwszej do ostatniej strony. Historia

Dafne - Daisy Simpson związana jest ściśle z charakterystyką dwóch burżuazyjnych rodzin reprezentujących — według określenia autorki — warstwę społeczną „średnią wyższą“ i „średnią niższą“ (inteligencja i półinteligencja).

U Rose Macaulay znajdujemy żywą inteligencję, dużą kulturę, oryginalny styl i prawdziwie angielski „humour“. W „Dwóch obliczach“ poświęca autorka wiele miejsca kobietom piszącym. Rys charakterystyczny dla życia angielskiego, skoro się zważy, że powieściopisarki są w Anglii zjawiskiem tak codziennym, jak u nas właścicielki magazynów mód lub pracowni sukien. Do kobiet tych autorka odnosi się z miłą wyrozumiałością. Ostrze ironji skierowuje głównie przeciwko wydawcom i redaktorom, których działalność charakteryzuje w sposób równie złośliwy, jak dowcipny.

Ale u Rose Macaulay tak, jak u jej bohaterów, odkrywamy jednak „drugie oblicze“, które starannie ukrywa pod ironicznym uśmiechem: jest niem nawskroś kobiece współczucie dla człowieka, zaplątanego w skomplikowaną sieć życia.

Przekład Janiny Sujkowskiej bardzo staranny. *St. H.*

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA.

Jerzy Kossowski: „Ceglany Dom“.

Jakób Stefan Cusak: „Wyszczenie ekonomiczne, a rozwój mocarstwowy Polski“.

BIBLIOTEKA GROSZOWA.

W. Katajew: „Fatalna omyłka“ — wyd. Arcta.

Rex Beach: „Dziewczę z dalekiej północy“ — przekład J. Kra-suckiej.

Rex Beach: „Płynne złoto“ — przekład J. M. Taylora.

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ“.

Paul Morand: „Magja Czarnych“ — przekład i słowo wstępne Wacława Rogowicza.

Paul Morand: „Lewis i Irena“ — powieść — tłumaczyła Stefa-nja Podhorska - Okołów (wyd. 2-gie).

Herman Hesse: „Wilki stepowy“ — powieść — przełożył Józef Wittlin.

Piotr Louys: „Zmierzech nimf“ — ilustrował J. Winiarz.

Janusz Meissner: „4500 km.“.

Aleksander Junosza - Olszakowski: „Grobowiec w Benihassan“.

Jim Poker: „Trójkolorowa bandera“.

BIBLIOTEKAZKA HISTORYCZNO - GRAFICZNA.

Bruno Winaver: „Biljon słońce“.

Kobieta w świecie i w domu

Ś. P. STEFANJA JERWICZOWA.

W osobie ś. p. Stefanji Jerwiczowej zesłała do grobu wzo-rowa matka i dzielna kierowniczką domowego ogniska, a jed-nocześnie zasłużona działaczka na polu społecznym i literac-kiem, co swą energią i talentem organizatorskim umiała skupić

ludzi i porwać ich do czynu, a gorącym sercem i jasnym uśmie-chem nieść cierpiącym ukojenie i otuchę.

Rozkwit działalności społecznej ś. p. St. J. przypada na lata zawieruchy dziejowej. Wtedy to na obczyźnie gromadzi ona wkoło siebie rozproszonych rodaków, inicjuje i prowadzi wśród nich pracę oświatową i samokształceniową, oraz krzepi ducha narodowego, promieniując miłością ojczyzny i wiarą w jej zmartwychwstanie.

Jednocześnie zaprzęga się do ciężkiej pracy samarytań-skiej. Z ramienia Komitetu Polskiego jest opiekunką Przytuł-ku dla Inwalidów, pracuje też, jako sanitariuszka.

Równoległe z pracą społeczną rozwija ś. p. St. J. ożywio-ną działalność literacką. Rozpoczęła ją bardzo wcześnie. Ma-jąc 20 lat, wydaje swą pierwszą powieść p. t. „Baśń Życia“. Ocena poważnej krytyki brzmi pochlebnie i zachęcająco, więc wślad za tem ukazują się coraz to nowe szkice i nowele. Dru-kują je „Bluszcz“, „Kurjer Warszawski“ i „Tygodnik Ilustro-wany“. W r. 1912 wydana zostaje powieść p. t. „Wira Horecka“ i na konkursie „Bluszczu“ uzyskuje pierwszą nagrodę.

Z późniejszych utworów wyróżnione zostają: zbiór no-wel p. t. „O ludziach, ludziskach i człowieku“, z których jedna wchodzi w skład antologii najcenniejszych nowel polskich, wy-danej w języku włoskim, oraz dłuższa nowela p. t. „Pierwsza Miłość Nicka“, odznaczona na konkursie „Wiadomości Literac-kich“.

Niepodobna też pominać milczeniem twórczości dla mło-dzieży. Już po wojnie St. Jerwiczowa inicjuje i do końca swych dni redaguje najtańszą w kraju bibliotekę dla dzieci: „Książeczki Różowe i Błękitne“.

Dorobek literacki ś. p. Stefanji Jerwiczowej pozostanie zawsze cennym dla świata kobiecego, jako jeden z dokumentów „Psyche“ współczesnej.

Jasno skreślony przez Jerwiczową obraz poszukiwania nowych dróg — przepojony wiarą w szlachetność natury ludz-kiej i szczerem ukochaniem najwyższych ideałów — pozostanie jednym z tych czynników, co pchnęły myśli kobiety na nowe tory i odkryły przed nią szersze horyzonty.

I w tej dziedzinie pracy wojna skierowuje działalność ś. p. zmarłej na nowe tory: porwana w wir publicystyki, staje się współpracowniczką pism: „Echo Polskie“, „Głos Polski“ i „Dziennik petersburski“. Po powrocie do kraju, pracuje w dal-szym ciągu na polu dziennikarstwa: szereg pism stołecznych drukuje jej fejtlety. I w tej dziedzinie pracy obejmuje ś. p. St. J. samodzielną placówkę, organizuje i prowadzi „Tydzień Pani“ w „Polsce Zbrojnej“. W jej pracy dziennikarskiej na każ-dym kroku widoczny jest twórczy wysiłek rozbudzenia naj-szlachetniejszych porywów duszy ludzkiej, tak często tłumio-nych przez ciężkie warunki życia.

Złożona długotrwałą i ciężką niemocą nie ustaje ś. p. St. J. w pracy swej, aż do ostatniego tchu. I odchodzi bez buntu, bez skargi, choć wie dobrze, że jeszcze wiele mogłaby zdziałać, choć wie dobrze, jak trudno będzie ją zastąpić i jak wielki i szczery żal zostawi po sobie Cześć Jej pamięci. *J. E.*

SOKOLSTWO ŻEŃSKIE NA ZŁOCIE POZNAŃSKIM

I-szy Wszechsłowiański Zlot Sokolstwa (28 czerwca—1 lip-ca) w Poznaniu wykazał ogromny postęp, jaki uczyniło polskie Sokolstwo żeńskie, szczególnie w 3-ich ostatnich latach.

Rozwój, bowiem, Sokolstwa żeńskiego u nas ma 2 okresy: od r. 1903 do 1926 i od tej daty idący etap reorganizacji, który trwa dotychczas. Okres pierwszy — to organizacja pierwszych oddziałów i nielicznych oddzielnych gniazd żeńskich, szczegól-nie w okresie do 1908 i 1913 r. prześladowanych przez władze pruskie i rosyjskie.

Jedynie Małopolska miała warunki swobodnego rozwoju i dzięki temu już w 1903 r. z inicjatywy Związkowego (Sokol-

skiego) Grona Nauczycielskiego powstały w 15 gniazdach zastępy żeńskie i pierwsze gniazdo żeńskie we Lwowie. W r. 1910 w Małopolsce było 469 druhen w 38 gniazdach.

W Wielkopolsce do 1908 r. władze rozwiązywały stow. Sokola, jeśli się ujawniło, że są w gniazdach oddziały żeńskie. (Dziwnie bały się tych ćwiczących się kobiet polskich!). Dopiero więc z datą nowej ustawy o stowarzyszeniach — r. 1908 — złączyło się powstawanie oddziałów druhen.

W Królestwie, Sokół, zawiązany w „wolnościowym“ roku 1905, został zamknięty przez władze rosyjskie już w 1906 r., ale to wywołało tylko organizację konspiracyjną.

Z chwilą ewakuacji rosjan z Królestwa w r. 1915 potężniejsza akcja Sokolstwa. Druhny idą do oddziałów sanitarnych, straży i zastępów łącznikowych, a gdy nadszedł r. 1920, z samej tylko Warszawy pracowało 200 druhen w szpitalach w mieście i na froncie, w świetlicach i szwalniach Białego Krzyża, w „Służbie Narodowej Kobiet“, w gospodzie ruchomej „Sokola“ na froncie i t. d. Po wojnie bolszewickiej do 1926 r. organizacja żeńska szła dawnym torem pod kierownictwem naczelników i prezesów gniazd mieszanych.

Dopiero w r. 1926 Rada Związkowa uchwaliła utworzenie Związkowego Wydziału Sokolic, w myśl zasady, że „ruch kobiecy tylko przez kobiety prowadzony być może“. Wydział podjął od razu pracę w 3-ch kierunkach: wychowania fizycznego, wychowania obywatelskiego i przysposobienia wojskowego. Postulaty, będące podstawą opracowanych przez Wydział regulaminów i programów, były identyczne z temi, które w 2 lata później wysunął ogólnokrajowy Kongres Sportowy Kobiecy w Warszawie.

Dla ścisłości trzeba nadmienić, że Wydział nie ma bynajmniej drogi różami usłanej, przeciwnie — o każdy punkt programu musi wciąż toczyć walkę ze współtowarzyszami pracy, którzy dziwnie niechętnym okiem patrzą na usamodzielnianie się pracy kobiecej. Wydział wychowania fizycznego ani rusz nie może dojść do porozumienia w kwestji równego udziału druhen w naczelnictwie i komisji technicznej. Przysposobienie wojskowe jest poprostu na indeksie. Postulaty czysto organizacyjne i reprezentacyjne są bez ceremonji odrzucane na przedniedniach.

Mimo te wszystkie utrudnienia, Zlot Poznański wykazał ogromny postęp i w liczebności i w ćwiczeniach. W pochodzie przez miasto — ściśle mówiąc — w defiladzie przed prezesem Związku i prezeską Wydziału, wzięło udział 3000 umundurowanych druhen. Taka sama liczba wzięła udział w wielkich galowych ćwiczeniach na boisku 30 czerwca. (Prowadził je jednak naczelnik Związku, a nie naczelniczka. Dlaczego?...). Była to, bądź co bądź, nielada trudność skoordynować te masy i tu podkreślić należy, że ćwiczenia wykazały zaledwie drobne usterki (w „kryciu“ szeregu w 2 — 3 zaledwie kolumnach na całą ilość).

Druhny wzięły też *en masse* udział w wielkim przedstawieniu, trzykrotnie powtórzonym na arenie Wystawy „Zaślubiny Wisły z Bałtykiem“, gdzie wykonały szereg tańców narodowych. Niektóre gniazda przybyły z tej okazji w strojach ludowych swych okolic, wzbudzając sensację barwnością ubioru.

Pod tym względem przodował Śląsk Górny i Cieszyński (Sokolstwo polskie z Czechosłowacji).

Z zagranicy przybyły na Zlot Sokolice polskie ze Stanów Zjedn., z wiceprezeską tej dzielnicy, druhną Korpantową na czele, wszystkie w błękitnych mundurach „Hallerowskich“, które pozostały na przypomnienie, że Sokół polski z Ameryki dał armji polskiej we Francji 10.500 żołnierza. Były Sokolice polskie z Francji i Czechosłowacji.

Z Sokolstwa słowiańskiego zwracały powszechną uwagę zarówno pięknocią stroju narodowego, jak artystem ćwiczeń Czeszki i Jugosłowianki. Te ostatnie były reprezentowane przez drużynę, złożoną ze studentek uniwersytetów, które pobily bez

konkurencyjnie wszystkie pokazy swojemi tańcami rytmicznemi. Ich wykonanie naprz. „Modlitwy i tańca u bram świątyni“ — Griega — stanowiło wzniesienie się na wyżynę sztuki do tego stopnia, że widzowie z poza sokolstwa wierzyć nie chcieli, iż nie jest to jakaś „szkoła plastyki“.

Po zakończeniu Zlotu w Poznaniu Sokolstwo Czeskie i Jugosłowiańskie przybyło do Warszawy, gdzie zorganizowano ad hoc — niesłusznie nazwaną — „Akademię“ w Dolinie Szwajcarskiej, na której czołowe drużyny męskie i żeńskie — tak polskie, jak zagraniczne — wykonały swe zlotowe ćwiczenia, budząc niezwykły zachwyt widzów.

Zlot, który sprowadził do Poznania bezmała 27.000 Sokolstwa, w tem 10.000 biorących udział w ćwiczeniach zlotowych, dał przegląd rozwoju organizacji i stał się znakomitą jej propagandą.

Biorąc zaś pod uwagę jego ogólnosłowiański charakter, nawiązał nici serdecznej przyjaźni z serbami, chorwatami, słowakami i czechami, którzy zgodnie podkreślali wielki postęp, dokonany przez ostatnie lata w pracy Sokolstwa polskiego.

R. B.

WYPOŻYCZALNIA PODRĘCZNIKÓW.

Koniec roku szkolnego wzmaga pracę w Wypożyczalni Podręczników; ruch panuje ogromny, długie szeregi młodzieży szkolnej, zwracającej książki, przesuwaną się przez lokal Polskiej Macierzy Szkolnej. Wypożyczalnia, licząca około 40.000 podręczników, zaspokaja potrzeby dlatwy i młodzieży stołecznej; przeszło 6000 książek wysłano na Kresy wschodnie

PORADNIA DLA SAMOUKÓW.

Do Poradni dla Samouków napływają liczne zapytania od młodych maturzystów szkół powszechnych i średnich z prośbą o radę na dalszą drogę życia. Wybór zawodu, informacje w sprawie szkół zawodowych, programy, kształcenie się drogą samouctwa, pytania, jak pożytecznie spędzić wakacje, wypożyczanie instrukcyj i książek z Biblioteki Nauczycielskiej — są to sprawy, z którymi zwracają się petenci do Poradni Polskiej Macierzy Szkolnej.



Księżna Alexandra Cantacuzène.
Nowa Przewodnicząca Malej Ententy Kobiet.



W ogrodzie

PLACÓWKI GOSPODARCZE DLA KOBIET

III.

Ogrodnictwo.

Z pośród wszystkich zajęć zawodowych ogrodnictwo daje chyba najwyższą sumę rozkoszy i zadowolenia moralnego. Daje zdrowie i rzeźkość przez długie lata życia (dość spojrzeć na nestorów naszego ogrodnictwa: pp. E. Jankowskiego i P. Hosera, na p. Żebrowską, tak pełną życia, mimo organizmu niezbyt silnego); wyrabia tężyznę charakteru, zaradność, radość życia, a przez swą różnorodność pozwala na obiór specjalnych działów, zgodnych z upodobaniem osób, które mu się poświęcają.

Różnorodność specjalności ogrodniczych jest ogromna, z pośród nich zacytuję tylko najwybitniejsze: sadownictwo, szkółkarstwo (obie gałęzie olbrzymie); warzywnictwo i przyspieszanie warzyw; nasiennictwo i praca nad uszlachetnianiem odmian; planowanie ogrodów, stanowiące rozległy teren specjalności (parki, ogrody handlowe, działkowe, robotnicze, osadnicze, regulacja wsi); kwiaciarstwo ozdobne i handlowe; wielki dział ogrodnictwa szklarniowego i cieplarnianego; bukiciarstwo i handel kwiatami. Czyż to nie cudowne pola pracy?! Cudowne przez bezpośredni związek z naturą, przez możliwość wyczerpania z ziarna i ziemi nieprzebranego bogactwa piękną i pożytku.

Jednym z najpożyteczniejszych zadań ogrodnictwa jest „Instruktorstwo” i „Nauczycielstwo” — tak ważne przy odbudowie polskich wiosek, których wygląd jest wprawdzie malowniczy, ale jakże nieporządny i zaniedbany! a stan ogrodnictwa urąga elementarnym pojęciom o kulturze.

W zakresie instruktorstwa można sobie obrać rozmaite specjalności, np. produkcję regionalną, (ogórki koło Przybyszewa i nad Bugiem, cebula i t. p.). Niezmiernie odpowiednią dla kobiet jest praca nad badaniem szkodników i chorób świata roślinnego i walka z nimi. Krótki ten wykaz rzuca światło na rozmiary i różnorodność prac ogrodniczych, z których wiele czeka u nas na chętnych do pracy.

Szczęściem, nikt w Polsce nie kwestjonuje prawa kobiet do zawodu ogrodniczego — inaczej w Niemczech; tam, mimo istnienia paru dobrych szkół ogrodniczych dla kobiet, spotyka się stale polemikę ze strony ogrodników, obawiających się konkurencji kobiecej i twierdzących, że to zawód dla kobiety zanadto wyczerpujący.

Nie będziemy sobie zadawać trudu zwalczania tych przekonań i przejdziemy do rozejrzenia się w naszym szkolnictwie ogrodniczym, szeroko otwartym dla kobiet. Mam na myśli szkolnictwo ogrodnicze specjalne, zaznaczę jednak, że we wszystkich szkołach rolniczo - gospodarczych żeńskich, zarówno wyższych, jak i niższych, nauka ogrodnictwa jest uwzględniana, czasem nawet bardzo wyczerpująco.

Szkół ogrodniczych średnich, dostępnych dla kobiet, mamy pięć.

1. *Trzyletnia państwowa szkoła ogrodnicza koedukacyjna w Poznaniu* (ul. Noskowskiego 6). Warunki przyjęcia: ukończenie 6-ciu klas szkoły średniej ogólnokształcącej i wiek ponad 17 lat. Od drugiego roku podział na ogrodnictwo użytkowe i ozdobne.

Kandydatki mogą być poddane egzaminowi wstępnemu z matematyki, przyrody, języka polskiego i rysunków. Przy szkole istnieje roczny kurs przygotowawczy.

2. Dwuletnie kursy praktyczne ogrodnictwa Towarzystwa gospodarczego we Lwowie (Fredrowo p. Rudki). Przy szkole jest bursa.

3. Państwowa szkoła im. Królowej Kingi w Ploczku posiada oddziały: przemysłowy, handlowy i ogrodniczy i ma na celu przygotowanie uczennic do prowadzenia własnego ogrodu lub objęcia posady w przedsiębiorstwach ogrodniczych. Zajęcia gospodarcze i nauka przedmiotów ogólnie kształcących odbywają się wspólnie z innymi oddziałami; zajęcia praktyczne prowadzone są w szerokim zakresie w ogrodzie szkolnym, w inspektach i cieplarni.

Szkoła istnieje od 28.XII 1921 r.; kurs nauk jest 4-ro letni, warunki przyjęcia: wiek 14 — 17 lat, dobry rozwój fizyczny, ukończenie przynajmniej 7 oddziałów szkoły powszechnej, albo 4 kl. szkoły średniej. Egzaminy wstępne w końcu Czerwca i Sierpnia. Uczennice otrzymują świadectwo po złożeniu osta-



Sluchaczki kursów przy pracy



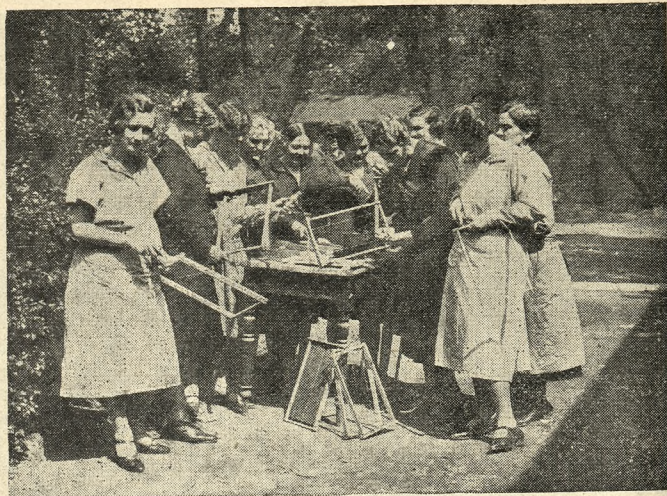
Zajęcia w cieplarni.

tecznego egzaminu i odbyciu rocznej praktyki zawodowej we wzorowo prowadzonym ogrodzie.

4. Trzyletnia szkoła ogrodnictwa w Krasnymstawie — ze szczególnym uwzględnieniem nauki przetwórstwa, pod naczelnym kierunkiem znanego specjalisty, p. Meringa; warunki, jak wyżej.

5. Jednoroczne kursy ogrodniczo - pszczelnicze w Warszawie (ul. Wiejska 12). Na kursy wstępować mogą osoby z wykształceniem ogólnym średnim 6-io klasowym, mające co najmniej 16 lat. Zajęcia odbywają się w dni powszednie od g. 9 do 15. Kierowniczką kursów, zaszczytnie znana p. Żebrowska; wśród wykładowców — pierwszorzędne siły, a między nimi: Z. Malinowska (Szkodniki i choroby roślinne), S. Dziewanowska (Drzewoznawstwo), Dr. S. Lipska (Bakterjologia ferm), W. Żebrowska (Przeroby), H. Dzierzbicka i S. Kielczewska (Zajęcia praktyczne). Cytuję tylko kobiety, aby dowieść, że otwarte jest dla nich pole w kierunku nauczania. Kursy te są najstarsze w Polsce, istnieją bowiem od 1896 r.; w roku bieżącym będą przeniesione na ulicę Profesorską Nr. 4. Wykształciły one dotychczas 2245 osoby, ze znaczną przewagą kobiet, a absolwentki tego, względnie krótkiego, kursu są bardzo dobrze przygotowane praktycznie i przejęte duchem społecznym. Miałam sposobność poznać i ocenić te właściwości, gdyż z ogrodniczek z ulicy Wiejskiej rekrutowały się dotychczas moje najlepsze i najdzielniejsze praktykantki, których większość poszła drogą działalności społecznej.

Kursy te osiągnęły wysoki poziom nie tylko w zakresie ogrodnictwa, ale również pszczelnictwa i przetwórstwa. Obok konserw, marmelad i suszów — wyrabiane są pierniki, octy i t. p. wyroby, których znajomość jest tak doniosła dla naszej higieny narodowej.



Przygotowywanie ramek do pasieki

Z krótkiego tego opisu widać, że mamy możliwość kształcenia się w ogrodnictwie na kursach 1 — 4 letnich, dla kobiet z mniejszym i większym wykształceniem, młodszych i starszych.

Absolwentki szkół mogą pracować na własnym zagonie w zakładach ogrodniczych, sklepach z kwiatami, a także, jako instruktorki i nauczycielki — pole pracy tak rozległe, że niema obawy o brak pracy dla sił rzeczywiście zdolnych, zamiłowanych. W następnym artykule omówię wyższe wykształcenie ogrodnicze, które jest również dostępne dla kobiet.

M. Karczemska.

VI.

JAKI POWINIEN BYĆ DOM

Nietylko od naszej oszczędności i pracowitości, od naszej zabiegliwości i systematyczności, ale głównie od naszej mądrości i inteligencji zależeć będzie nasz „home“.

Home w języku angielskim — to wyraz, który nie da się ściśle przetłumaczyć. To nietylko mieszkanie, dom własny, ale wszystko razem, z całością życia ludzi, ten dom zamieszkujących. Home — to ów port, otoczony łamaczami fal, gdzie się odpoczywa w zamknięciu, zdala od huczących nazewnątrz burz. Home stwarza się dla siebie i wstęp doń zdobywają tylko bliscy sercu, wybrani przyjaciele. Obcy przybysz widziany tam bywa w drodze wyjątku, zdobywszy uprzednio przyjaźń i zaufanie.

Dalecy jesteśmy od posiadania domów, urzędowych wyłącznie dla siebie i prowadzonych pod tym kątem widzenia. W domach naszych często pełno bywa przyjezdnych krewnych, znajomych. Domy te bywają zapełnione sublokatorami nieraz tak licznie, że robią wrażenie pensjonatów, gdzie pod jednym dachem gnieździ się moc różnorodnych upodobań i przyzwyczajęń, bezładu i porządku.

Zastanawiając się jednak nad domem *własnym* w całym tego słowa znaczeniu, musimy stwierdzić, że jego wyraz, jego rodzaj zależeć będzie przeważnie od pani domu. Na wyraz ten składać się będzie z jednej strony jej mrówcza, codzienna, drobiazgowość, niewdzięczna przez to, że się ściśle nie da obliczyć, że się bezustannie powtarza i nigdy nie kończy. Z drugiej strony na wyraz ten złoży się jej inicjatywa, jej kultura, zdolność zachowania i rozwijania własnego „ja“ i „promieniowania“ niem nazewnątr.

Nie chcę przez to promieniowanie powiedzieć, że pani domu powinna się stale uśmiechać, być ofiarnie zrezygnowaną lub potulnie uległą. Przeciwnie: obejmując ster domu w swe ręce, powinna nietylko rozumieć ważkość spadającej na nią odpowiedzialności za spełnienie podjętych obowiązków, ale musi wykorzystać tę sposobność do wykazania swoich zdolności administracyjnych, swej intelektualnej wartości i taktu towarzyskiego. Bo dom, rodzina, choćby najmniejsza — to „towarzystwo“ na małą skalę. Od sposobu zachowania się domowników pomiędzy sobą, od umiejętności postępowania ze służbą zależeć będzie nastrój w domu i jego istotny charakter.

Istnieje nieomal powszechny zwyczaj bagatelizowania wszelkich form towarzyskich pomiędzy domownikami. Od dzieci wymaga się jeszcze mówienia „dzień dobry“, „dobranoc“ i „dziękuję“. Młodzież miewa pod tym względem większą swobodę, zaś dorośli są od tych obowiązków zwolnieni milczącym prawem zwyczajowem. Lekceważenie sposobu zachowania pociąga za sobą zaniedbywanie się w ubraniu domowem. Domownicy, szczególnie rano, ukazują się często jedni drugim w strojach oplakanych.

Powszechna nieomal zasada brzmi: inaczej na codzień — inaczej dla gości. Inaczej w domu — inaczej u kogoś.

Można na obronę takiego systemu powiedzieć, że dom istnieje po to, żeby się nie krępować, żeby być sobą i w ten sposób odpoczywać. Ależ, szanując swój dom, musimy w stosunku do swoich najbliższych zachować te formy towarzyskie, których wymagamy od obcych. Oszczędzimy sobie wówczas wielu zgrzytów, dąsów i nieestetycznych widoków.

Naturalnie, że i ta sprawa zależeć będzie w głównej mierze od pani domu, która jest osią domowego pożycia. Od jej taktu zależeć będzie spokój podczas obiadu i kolacji, kiedy normalnie gromadzą się przy stole wszyscy domownicy. Poruszanie wówczas wszelkich spraw, rozważanie wzajemnych uraz, rozpatrywanie spraw finansowo - gospodarczych i t. p. kwestje — należy stanowczo wykluczyć. Wywołują one nastrój przykry, podniecający, kończą się często mocną awanturą, pompatycznym opuszczeniem stołu, płaczem, i bynajmniej nie przyczyniają się do racjonalnego spożycia przygotowanych pokarmów.

Atmosfera spokoju i przytulności, panująca

w domu, udzieli się każdemu gościowi, wpływając dodatnio na jego usposobienie. Gościowi, odwiedzającemu nas, przeważnie chodzi znacznie więcej o miłą pogawędkę, aniżeli o wystawne przyjęcie. Wogóle ekonomiczne warunki doby powojennej wpłynęły ogromnie na odmianę zwyczajów w życiu towarzyskiem. Znikły wystawne przyjęcia z gorącymi kolacjami, a znajome towarzystwo gromadzi się często w cukierni lub restauracji, gdzie przeważnie każdy sam reguluje swój rachunek.

W domach prywatnych utarł się zwyczaj urządzania popołudniowych herbat, a na przyjęciach wieczornych — bufetów. Dużo to miłsze, bo nie wymaga sztywnego siedzenia cały czas przy obiedzie lub kolacji w niemiłym często sąsiedztwie. A przytem oszczędza wiele obsługi. Do takiego bufetowego przyjęcia stół powinien być ubrany estetycznie kwiatami lub owocami, odpowiedniami do pory roku. Na obu jego końcach stawia się zawczasu nakrycia: układane „en pile“ talerze, widelce, noże i łyżeczki w zwartych szeregach i stopy serwetek.

Resztę stołu zastawia się przygotowanymi potrawami, przeważnie zimnemi. Tu pomysłowość pani ma wielkie pole do działania. Kierować się trzeba prostotą, dużą wagę kładąc na estetykę podanych potraw. Unikać nadmiernie pracowitych przybrań do potraw, bo zajmują zbyt wiele czasu i zużytkowują nieprodukcyjnie wiele towaru. Wszelkie napoje, sosy i t. p. rzeczy muszą być przygotowane zawczasu, bowiem niema nic przykrzejszego podczas przyjęcia nad widok bezustannie krzątającej się gospodyni.

Pani domu powinna tak wszystko zorganizować, żeby po przybyciu pierwszych gości już tylko im wyłącznie czas poświęcić. Od dobrej organizacji zależeć będzie panująca na przyjęciu atmosfera, a każda gospodyni, która potrafi przedtem obmyśleć wszystko i wykonać pracę kolejno, systematycznie — znajdzie czas na dotrzymanie towarzystwa swoim gościom.

„Gość w dom — Bóg w dom“ — powiada nasze stare przysłowie, które, jak każde z przysłów, w kilku słowach syntetyzuje odwieczne prawdy życiowe. Cieszymy się więc tem, czemś niecodziennem, co do naszego domu zawitało, ale umiejętnie, dając z siebie wszystko najlepsze i biorąc wzamian to samo. To też dobierać i przebierać swoich gości należy dopóty, dopóki nie stworzy się grupy ludzi, odpowiadających sobie. Przykry jest salon, zapełniony ludźmi, którzy się między sobą nie znają prawie, którzy zaczęta rozmowę przerywać muszą co chwila, aby znów z kimś się witać.

Należy unikać przepełnienia domu zbytnią ilością gości, a nawet domowników, tak samo, jak zwalczając trzeba przepełnienie domu nadmierną ilością mebli, drobiazgów i różnych sprzętów. W takim przepełnionym domu, w naszych warunkach mieszkaniowych, nie może być mowy o stałym porządku, na każdym, bowiem, kroku staczać trzeba walkę z nadmia-

rem tych rzeczy. To też co jakiś czas należy robić dokładny przegląd wszystkiego, co się w domu znajduje. Rzeczy zepsute usuwać lub, jeśli można, sprzedać. Przedmioty zniszczone naprawiać, odnawiać, a wszystkiemu, co się w domu znajduje, nadawać charakter użyteczny. Niema bowiem gorszej plagi nad stopy bezużytecznych rzeczy, zajmujących miejsce, które należy okurzać i czyścić. Pokój jadalny tak często „dekoruje“ samowar, którego już dziś nikt prawie nie używa. Stolik, przezeń zajęty, mógłby z pewnością oddać większy pożytek, gdyby był wolny!

Należałoby również mieć odwagę usuwania z domu ofiarowanych nam upominków, które nie odpowiadają naszemu poczuciu estetyki, a tolerowane bywają ze względów uczuciowo - towarzyskich. Stają mi przed oczami te różne prezenty ślubne, imienninowe, okolicznościowe, które tak często wprawiają nas w kłopot niesłychany, nie wiemy bowiem, co z tem zrobić, a nie wypada nam się przyznać, że się nam tak bardzo niepodobają. Możliwość tych drobnych przykrości sobie zaoszczędzić, gdyby ludzie mieli odwagę zapytać jedni drugich, jaki dar zrobiłby im istotną przyjemność.

Zupełnie analogicznie rzecz się ma z wytworami mody. O ile w ubraniu moda narzuca się z taką siłą, że zupełnie ją zwalczyć jest niepodobieństwem, a zresztą nikt do tego nie ma ochoty, o tyle należy być bardzo ostrożnym w nabywaniu rzeczy modnych do urządzenia domu.

Modnie, ale jak długo? — oto pytanie, które należałoby zadać sobie zawsze, zanim coś do domu zdołamy.

Mebel kupiony musi służyć wiele lat, to też może być dwojakiego rodzaju: albo pełen wygodnej prostoty, albo czystego stylu. Niema bowiem nic brzydszego nad różne modne dziwolągi, które przechodzą, bo nic w nich nie było z Piękną, aby się ostać mogły, a raz kupione, pozostają z nami i drażnią nas swoim wyglądem. Znam taki salon, gdzie przepiękne obrazy pierwszorzędných mistrzów, cudne brzozy i wspaniałe wschodnie dywany zamierają z przerażenia w towarzystwie dziwacznie powyłamywanych mebli z okresu wiedeńskiej secesji z przed lat 25 — 28. Dzieje się tak zawsze z meblami, które przybierają formy ostatniego wyrazu mody. Tymczasem rzeczy wygodne, w prostocie swej estetyczne, zachowają długo użytkową wartość i nie będą raziły nikogo swymi nie-modnymi kształtami.

To samo, co o meblach, da się również powiedzieć o bieliźnie stołowej, o nakryciu stołu, serwisach i różnych drobiazgach, które nabywamy, bo są modne, ale po jakimś czasie, gdy moda przeminie, zniechęcamy się do nich. Nie harmonizują bowiem z całością naszego domu i nie odpowiadają naszej psychice.

I dlatego kupowanie mebli do domu, urządzenie go w każdym szczególe musi być bardzo starannie

obmyślane, ażeby wydane na to pieniądze były zużyte istotnie celowo. Kupowanie bowiem racjonalne nie jest rzeczą tak łatwą i prostą, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawało. M. D.



KILKA UWAG O PIELEGNOWANIU ROŚLIN W POKOJACH

Rośliny stanowią cenną ozdobę każdego mieszkania, to też spotykamy je zarówno w ubogich izdebkach, jak i we wspaniałych komnatach. Ale bez względu na to, czy będą to kosztowne storczyki, czy dumne palmy, czy skromne primulki, albo pelargonje — wszystkie rośliny wymagają troskliwej i umiejętnej opieki.

A jednak, pomimo najgorliwszych zabiegów, nieraz rośliny marnieją, żółkną, więdną, tracą liście i brzydą, wznecając rozczarowanie, a potem i zniechęcenie wśród tych, którzy im swój czas i pracę poświęcali.

Tym właśnie hodowczyniom pragniemy przyjść z pomocą i rzucić kilka rad, które może zdołają nansunąć właściwy sposób pielęgnowania i zapobiec dalszemu marnieniu ulubieńców.

Mieszkańcy Warszawy mają zadanie ułatwione: Koło Miłośników Ogrodnictwa (Warszawa, Jerozolimska 45, tel. 32-35) urządza corocznie kurs hodowli pokojowej roślin, połączony z ćwiczeniami przesadzania. Kto go wysłucha, łatwiej poradzi sobie z pielęgnowaniem roślin. Dla innych muszą go zastąpić wskazówki, zamieszczone na gościnnych łamach „Bluszcza”.

Rośliny pokojowe cierpią pod wpływem szkodników, na szczęście nielicznych, ze świata zwierzęcego; pod wpływem chorób, wywołanych przez grzybki pasorzytnicze, i pod wpływem chorób, występujących wskutek niekorzystnych wpływów zewnętrznych. Narazie zajmijmy się temi ostatnimi.

Nie wolno zapominać, że roślina jest organizmem żywym, który reaguje na wpływ środowiska otaczającego. Jeżeli warunki bytowania mu nie sprzyjają, to organizm cierpi w mniejszym lub większym stopniu, i cierpienia te mogą w rezultacie zakończyć się śmiercią.

Jednym z często spotykanych czynników nieprzyjaznych jest wadliwie dobrany wymiar doniczki. W zbyt szczupłym naczyniu korzenie nie znajdują ani miejsca do swobodnego rozwoju, ani koniecznych zasobów pożywienia. Jeżeli silnie rozwiniętą roślinę pozostawimy zbyt długo w za ciasnym naczyniu, to wzrost ulega zahamowaniu, liście żółkną i opa-

dają. Wprawdzie drogą doprowadzania pożywek w postaci nawozów ciekłych można i w takich warunkach utrzymać roślinę przy życiu, lecz nie należy szukać metod najtrudniejszych, gdy prostsze są dostępne.

Ale niemniej groźne w skutkach są naczynia za duże. Często bardzo spotykamy się z faktem, że gdy roślina choruje, to się ją przesadza do większej doniczki, żeby przysporzyć pożywienia. Tymczasem takie postępowanie jedynie przyspiesza śmierć wychowanka. Bo roślina oddycha nie tylko przez liście i łodygi, lecz i dla pomyślnego rozwoju korzeni potrzebuje dostępu powietrza. Dość wyjąć bryłę zdrowej rośliny z doniczki, żeby się przekonać, iż jest ona na całej powierzchni zewnętrznej omotana korzeniami, które ściśle przylegają do ścianek naczynia. Ścianki te są porowate, więc tamtędy dopływa powietrze do korzeni. Stąd płynie jeszcze jedna nauka: najlepsze są zwykle doniczki gliniane, porowate, niezbyt mocno wypalane, a niekorzystne są naczynia majolikowe, blaszane, kamienne, gliniane polewane lub porcelanowe, nieprzenikliwe dla powietrza. Ale nawet przewiewne doniczki z biegiem czasu pokrywają się pleśnią i mchami, więc trzeba je szorować ostrą szcztoką, żeby nanowo pootwierać ich pory.

Jeżeli doniczka jest za obszerna, to pomiędzy bryłą korzeniową a doniczką znajduje się dość gruba warstwa ziemi, przez którą powietrze nie może przenikać. W tej warstwie też nagromadzają się zapasy wilgoci, przekraczające tę ilość, którą roślina jest w stanie wchłonąć w ciągu krótkiego czasu. Zatem ziemia pozostaje przesycona wodą, powietrze do bryły nie ma dostępu, korzenie cierpią z powodu braku tlenu, części organiczne ziemi zaczynają gnić, kwasnieć, i gnicie udziela się tkance korzeniowej. W ten sposób, zamiast ratować chore korzenie rośliny, którą pragniemy uleczyć, narażamy je na zabójczy wpływ bakterij gnilnych, a odcinamy dostęp zbawiennego powietrza.

Zatem: jeżeli mamy do czynienia z okazem chorym, to trzeba wszystkie korzenie przyciąć aż do tkanki zdrowej, którą w przekroju łatwo poznać, bo jest albo czysto - biała, albo posiada blade odcień żółtawy lub różowawy. Zmniejszoną bryłę należy umieścić w doniczce mniejszej od poprzedniej, a tylko tak dużej, żeby się bryła wygodnie pomieściła i żeby naokoło niej pozostało wolne miejsce na grubość palca. Na dno doniczki trzeba położyć kilka skorupki i nasypać centymetrowej grubości warstwę ziarnistego piasku, żeby woda miała zapewniony swobodny odpływ, i ziemię dobrać przepuszczalną, t. j. z obfitym dodatkiem piasku. Pacjenta nie należy też wystawiać na słońce, gdyż potęguje ono parowanie, a chore korzenie nie są zdolne doprowadzić większej ilości wody, niezbędnej w takich warunkach, i liście mogłyby więdnąć. Natomiast bardzo wskazane jest zra-

szanie liści raz lub dwa razy dziennie czystą letnią wodą. Zasilac chorych roślin również nie należy, dopóki nie wykazują normalnego przyrostu.

Stan zdrowia roślin doniczkowych najłatwiej jest sprawdzić, wyjmując roślinę z doniczki, żeby móc obejrzeć korzenie. Jeżeli następnie włożyć doniczkę tak samo, jak tkwiła poprzednio, i stuknąć dnem o stół, żeby bryła należycie osiadła, nie pozostawiając szczelin pomiędzy ziemią a ściankami doniczki, to niema obawy, żeby roślina ucierpiała.

Poważne błędy bywają też popełniane przy polewaniu roślin. Więc wody zimnej, wprost ze studni, stosować nie można. Najlepiej, gdy ma ona ciepłotę pokojową, choć może być nawet trochę wyższa.

Polewać zawsze należy tak obficie, żeby się woda ukazała na podstawce, bo świadczy to, że cała bryła uległa nasyceniu. Ale po upływie kilkunastu minut zwykle woda z podstawki ulega również wessaniu. Gdyby nadmiar jej pozostał, to wypadnie go zlać, żeby korzeni nie narażać na gnicie, bo tylko nieznaczne gatunki roślin mogą stale lub chociaż przez czas dłuższy stać korzeniami w wodzie. Za obfite polewanie też nie jest korzystne, bo woda wypłókuje składniki odżywcze z ziemi, i środowisko, w którym pozostają korzenie, ulega zubożeniu.

Zdarzają się jednak wypadki, że woda szybko przecieka na podstawkę, a bryła korzeniowa pozostaje suchą. Tak bywa, gdy się utworzą szczeliny pomiędzy ziemią, a doniczką wskutek zeschnięcia się bryły. W takim wypadku najlepiej wstawić roślinę wraz z doniczką do kubła z wodą na parę godzin, żeby się ziemia nasyciła wilgocią. Nazajutrz wystarczy stuknąć kilka razy doniczkę na stole, żeby ziemia wypełniła szczeliny i przylgnęła do ścianek naczynia.

Im więcej liści posiada roślina, im bujniej rośnie, tem więcej zużywa wody. Rośliny kwitnące także wyparowują więcej wilgoci, niż inne. W czasie upałów zachodzi niekiedy potrzeba polewania dwa razy dziennie, zwłaszcza, gdy rośliny stoją na powietrzu; natomiast w okresie zimowym wystarczy nieraz polanie co 8 lub 10 dni.

Ponieważ jednak pobieranie wody odbywać się może nietylko przez korzenie, ale również przez części nadziemne organizmu, głównie przez liście, więc bardzo korzystne jest zaopatrywanie rośliny i tą drogą w wodę. Szczególniej ważne jest to w mieszkaniach, gdzie pod wpływem bardzo suchego powietrza parowanie ulega silnemu wzmożeniu. Tem się tłumaczy, że rośliny, przeniesione z cieplarni do pokoju, tracą liście: roślina odtrąca organy parujące, żeby zmniejszyć stratę wilgoci. Do pewnego stopnia można zapobiec wynikającym stąd szkodom przez zraszanie liści, utrzymywanie ich w czystości drogą częstego obmywania i przez ustawianie roślin w skupieniu, bo wilgoć, parująca z doniczek i liści, łagodzi suchość powietrza. Niektórzy miłośnicy ustawiają rośliny w żardinierach, wyłożonych blachą cynkową, nalewają tam

wody, a doniczki ustawiają na podwyższeniu, albo na kratkach, wystających ponad powierzchnię wody.

Szkodliwe też są dla roślin przeciągi. Temperatura wcale nie potrzebuje spaść poniżej zera, żeby roślinę zaziębnić: wystarczy postawić ją w przeciągu, narazić na ostry przewiew, a ujemne skutki nie dadzą na siebie długo czekać.

Brak światła znoszą tylko niektóre gatunki, najodporniejsze, ale bezpośrednia operacja południowego słońca jest też dla wielu roślin szkodliwa. Nawet egzotyczne palmy jej nie znoszą, bo przywykły do przesyconego wilgocią, tropikalnego klimatu, a nie do suchego skwaru. Więc w oknach południowych zaleca się na najupalniejsze godziny zasuwać story, lub w inny sposób łagodzić jaskrawość promieni słonecznych.

Jeśli rośliny są wystawione na balkony, to bardzo wskazane jest kilkakrotne w ciągu dnia zlewanie wodą posadzki, względnie i ścian, żeby przysporzyć wilgoci w powietrzu. Zraszania samych liści, dopóki słońce na nie świeci, trzeba się gorliwie wystrzegać.

Oto kilka rad i ostrzeżeń, które w związku z ciepłą porą roku mi się nasunęły. Paniom Czytelniczkom, które miałyby jeszcze inne troski lub wątpliwości, chętnie, w miarę możliwości, udzielię rady, jeśli zechcą za pośrednictwem „Bluszcza” jej zażądać.

Stan. Schönfeld.



POTRAWKA Z RAKÓW.

Piętnaście deka kaszki drobnej krakowskiej przetrzeć z jajkiem, dobrze wysuszyć i ugotować na sypko ze sporą łyżką masła i garstką drobno usiekanego koperku. Ugotować mendel dużych raków, oczyścić, starannie zbierając wszystkie wnętrzości, oprócz czarnego pęcherzyka z ciecżą i kiszeczki w szyjce, które należy wyrzucić. Szyjki i łapki przechować, grzbietowe skorupki również, resztę skorupki utłuc jaknajdrobniej, lub lepiej przepuścić przez maszynkę do mięsa i postawić na ogniu z dużą łyżką masła (10 deka). Gdy się dobrze przesmaży, dolać trzy szklanki lekkiego rosółu, lub smaku z jarzyn i gotować wolniutko godzinę, aby cały smak z masy rakowej się wygotował. Czerwone masło, które spłynie na wierzch, zebrać do oddzielnego naczynia. Wnętrzości raków i drobniejsze łapki usiekać; jeśli jest kawałek cielęciny lub kury, albo jakiej gotowanej czy pieczonej ryby — usiekać go razem. Łyzeczkę masła utrzeć na miseczce, dodać garść siekanego koperku, nieduże jajko, filiżankę bułeczki tartej, usiekane wnętrzości raków, osolic; dodać tyle rosółu lub wo-

dy zimnej, aby farsz nie był zbyt suchy, czyli się nie rozsypywał, nadziać tem skorupki i ugotować w osolonej wodzie. Smak, wygotowany z raków, przeceścić przez najgęstsze sito lub muślin, zrobić na nim zwykły biały sos, dosyć zawieszisty, włożyć weń szynki i łapki, sporą garstkę koperku i masło rakowe. Rozgrzać mocno razem, lecz nie zagotować, gdyż masło straci kolor, a szynki stwardnieją. Na półmisku ułożyć w środku kaszkę (powinna być bardzo sypka), obłożyć nadzianymi skorupkami, połowę sosu wylać na kaszkę, drugą połowę podać w sosjerce. Proporcja na 5 — 6 osób.

KURCZĘTA NADZIEWANE.

Młode, nieduże kurczęta tak mało mają mięsa, że koniecznie należy je nadziać, aby cośkolwiek w nich było do zjedzenia. Żeby to nadzienie było smaczne, powinno być bardzo kruche. Na dwoje kurcząt należy wziąć sześć deka tłustego masła, utrzeć na miseczce, dodać sporą garstkę usiekanego koperku, nieduże jajko, filiżankę tartej bułeczki. Usiekać wszystko razem na sucho, osolić; kto lubi ostre przyprawy, może dodać odrobinę białego pieprzu. Dolać tyle rosołu lub wody, aby farsz się nie rozsypywał. Kurczęta, oczyszczone i osolone, jak zwykle, nadziać wewnątrz; jeśli skórka na wolu nie przerwana, to i pod tą skórka, co doskonale wpływa na smak i soczystość mięsa z piersi. Wątróbkę i żołądek włożyć do środka, lub też podłożyć pod skrzydełka; kurczęta posmarować masłem lub fryturą (nie szmalcem, którego smak nie godzi się ze smakiem mięsa kurcząt). Piec w średnio gorącym piecu, podlewając narazie masłem, a potem, gdyby tego masła było mało, paru łyżkami wody. Gotowane rozrąbać wzdłuż na połówki i podawać do nich bądź zieloną sałatę ze śmietaną, i jajami, bądź tylko gęstą, kwaśną śmietaną w sosjerce.

KALAREPKA.

Młoda kalarepka stanowi bardzo delikatną jarzynkę, nie należy jej tylko gotować w wodzie, jak to robi większość kucharek, lecz dusić w sposób nastę-

pujący: kalarepkę obrać ostrożnie z łupinek, które same łatwo odstają. Poszatkować jaknajcieniej nożem, lub na deseczce do ogórków. Przełożyć do rondelka z łyżką masła i dwiema łyżkami wody (na pół kilo kalarepki), osolić i dusić wolniutko pod pokrywą, często potrząsając rondelkiem, aby do dna nie przyszło. Gdy jarzyna miękka, wsypać łyżeczkę cukru, łyżeczkę mąki i pół szklanki mleka, lub słodkiej śmietanki, zagotować raz razem i wydać do mięsa lub obłożyć grzankami. Kto woli ostrzejszą przyprawę, może zamiast mleka i cukru dodać kawałek suchego buljonu Ninabur. i pół filiżanki rosołu lub wody.

TARTLETKI Z TRUSKAWKAMI.

Ćwierć kilo mąki, dwanaście deka masła, sześć deka cukru - pudru i tyle śmietany lub wody, aby można zagnieść ciasto. Nie wyrabiać zbyt długo, potrzymać godzinę na lodzie, rozwałkować cienko i włożyć niem 15 — 20 blaszanych foremek do babek. Napęlnić grochem i upiec na mocno - rumiano. Groch wysypać, kruche foremki wyjąć i ustawić na zimnej brytfannie, aby wystygły. W każdą foremkę włożyć po trzy duże truskawki, posypać je obficie cukrem - pudrem. Kwaterkę lub nieco więcej dobrej śmietany ubić na krem, zmieszać z dwiema łyżkami cukru - pudru utłuczonego z wanilią. Na każdej tartletce położyć łyżeczkę tego kremu na wierzch po małej truskawce, utaczanej w cukrze z wanilią, i natychmiast podawać, aby ciastka nie odwodniały.


Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani K. J. — Gajewo. — Adresy szkół i kursów ogrodniczych, znajdzie Sz. Pani w artykule p. Karczewskiej w bieżącym numerze.

Pani J. B. — Równe. — Niech Sz. Pani zwróci się do szkoły Imienia Konarskiego: Warszawa, Nowowiejska 37, albo Leszno 72. Radziłabym również Sz. Pani nabyć „Spis szkół zawodowych“, gdzie znajdzie Pani adresy szkół w całej Polsce, wydanie Min. Oświaty.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI **„VARICOL”**
 HEMOROIDALNE
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
 DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
 APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNA „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktor: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Poświęcenie kościoła w Byteniu.

Polacy tutejsi obchodzili wielką i radosną uroczystość — odbyło się poświęcenie niewykończonego jeszcze kościołka. Ceremonji tej dokonał przybyły umyślnie ze Słonima ks. dziekan Rosołowski — w asyście nowozamianowanego proboszcza parafji byteńskiej ks. Bolesława Helmera, oraz księdza proboszcza parafji w Wielkiem Polu.

Z biciem serca przekraczałam progi świątyni, a dusza w ekstazie wdzięczności mówiła rzewne, choć bez słów, „Te Deum“ — drżące uśmiechem i łzami zachwytu — którymi w kształt djamentów rozkwita czasem przedziwnie szczęście ludzkie. Na czystym błękitnie niebios lśniło słońce, jak promienna, złocista hostja — przyroda wysiliła się w tym pamiętnym dniu na cały czar wiosennego piękna, strojąc wewnątrz kościołka w blaski i szmaragdy świerkowych gałęzi, było to jego jedyną ozdobą, przesłaniającą ubóstwo i brak najpotrzebniejszych sprzętów kościelnych. Lecz wzrok w pierwszej chwili nie spostrzegał tego — a stopy lekko zdążyły za starcem w pontyfikalnych szatach, którego drżący głos intonował psalmy łacińskie, rzucając je w dal modlitewnie, jak srebrne kropelki wody święconej, opryskującej ściany. Chciwie śledzę każdy ruch ks. dziekana i śpieszę, śpieszę za nim — tak uskrzydla rzewna radość, bijąca ze źrenic triumfem uświadomionej nagie mocy — tej, której źródło żywe spływa od stóp krzyża. Dlatego we mgle jakby widzę bliską zresztą cerkiew prawosławną — nierealną wizją zda się być rzesza ludu, zaścieniająca dziedziniec dawnego klasztoru Bazyljańskiego, którego ruiny tworzą fantastyczne kolumny i załamy.

Tu koło mnie tyle znajomych — stawili się wszyscy w komplecie. Oprócz pana starosty Henszla, spostrzegam i gromadkę białorusinów, śledzących z zaciekawieniem przebieg uroczystości. Jeszcze chwila — i oto zaciszne, umajone wewnątrz świątyni roztwiera się gościnnie; zanika gwar zewnętrzny, przestaje istnieć wobec rzeczywistego cudu — restytucji katolickiego nabożeństwa tu — wśród starych kresowych dzierzaw Polski — dla nas właśnie — byśmy inaczej żyli — zapomnieni — rzućni w pustkowie, osadnicy.

Przelatuje to błyskawicznie przez myśl, gdy całą duszą uczestniczę w uroczystej sumie, którą odprawia ksiądz Helmer. Z szeptem żarliwych modlitw, jak sen zmartwychwstają reminiscencje dzieciństwa i lat późniejszych, spędzonych gdzieś daleko, na drugim krańcu Polski, u stóp ołtarza w trochę większym od tego — starożytnym wiejskim kościółku.

Mimowoli szukam wzrokiem dziecinnych głów — których tak wiele dookoła — choć pieką i bolą łzy,

które wycisnęła śmierć małej córki — uśmiecham się, bo oto te pisklęta zaznają słodczy nabożeństwa — nie ominie ich błogosławieństwo modlitwy, snutej w świętym przybytku wprost z serc naiwnych, a świeżych, jak polne kwiecie.

I w myśli te wplata się nakształt wonnej fali — śpiew dziewczęcy. Płynie z wysoka, z prowizorycznie zaledwie zbudowanego chóru, do którego prowadzi ukryta w zwojach zieleni, prosta drabina. Niepewne, drżące wzruszeniem głosy biją o strop wiosenne jakoś — wybacza się im usterki i niedociągnięcia, któreby kiedyindziej razić mogły ucho muzyczne — jest to bowiem pierwsza polska pieśń nabożna w polskim kościele, po półtorawiekowym prawie milczeniu.

Lecz oto ewangelja — ks. dziekan wstępuje na stopnie i od ołtarza zabiera głos, podkreślając ważność przeżywanej obecnie chwili. Przypomina tradycję katolickiej ongiś w Byteniu cerkwi i klasztoru Bazyljańskiego, którego mury uświęciła obecność apostoła Unji św. Józefata. To też słusznie jest, że w miejscu, mającym wogóle bogatą historyczną przeszłość, wskrzeszoną została ważna ze wszechmiar placówka, nietylko, jako ostoją katolicyzmu, ale i strażnicą polskości, narażonej tu więcej, niż gdziekolwiekindziej — z powodu złych warunków materialnych — na niebezpieczeństwo zubożenia dla kraju. Wnikając w ciężkie położenie osadników, J. E. Arcybiskup Metropolita Wileński przysłał duszpasterza, w tej nadziei, iż prędzej będzie wykończony kościółek, wymagający jeszcze wiele wkładów — ofiar i pracy. A onej imać się trzeba wszystkim, bo przecież tworzymy przystań dla zbolałych, znużonych częstokroć życiem, dusz...

Przemawiał następnie ksiądz proboszcz — już z ambony — także prowizorycznie zbudowanej, co maskują girlandy świerkowe, wiejące nakoło zapachem lasu. Mówił o korzyściach duchowych, jakie spłyną na parafjan, czerpiących moc i siły do pracy w modlitwie — we własnym kościółku z którym przecież nierozdzielnie związane jest życie każdego człowieka, od chwili jego urodzin, aż do śmierci.

Dzielię się temi wrażeniami z całą rzeszą współczytelniczek w tej myśli, że jednak zaciekawi je i ucieszy nasza radość, jak niegdyś wzruszył smutny obraz osadniczego życia

Obecnie praca w kościółku trwa ciągle i postępuje naprzód, dzięki energii ks. proboszcza Helmera, oraz pomocy ludzi dobrej woli, którym za zapoczątkowanie akcji składam w imieniu wszystkich nas — serdeczne podziękowanie.

Bowiem, znosząc niedostatek, borykając się na każdym kroku z trudnościami, co jednakże, mimo

przeciwnych opinij i głosów, jest nagą, rzeczywistością, sami nie bylibyśmy w stanie wykończyć i zaopatrzyć kościółka w najniezbędniejsze choćby sprzęty, a przynajmniej musiałoby się to rozciągnąć na lata całe, ze szkodą ogólną.

Dziękuję więc przede wszystkim J. E. Arcybiskupowi Metropolicie Wileńskiemu za hojny dar — złoty kielich, puszkę oraz 500 zł., ofiarowanych dla naszego kościółka — oraz proboszczowi nowoutworzonej parafji w Byteniu, ks. Bolesławowi Helmerowi.

I wierzę, że czyn, który wyrzeźbiła dłoń, kierowana przeogromną miłością bliźniego, będzie miał siłę zniewolenia obojętnych i zimnych — gdyż dobry przykład zdolny jest istotnie zdziałać cuda!!

Zofja Persowska — Byteń.

System i punktualność.

My, Polacy, pracujemy dużo i ciężko, a jednak wiele u nas nieładu i biedy. Pochodzi to stąd, że jeszcze dwóch rzeczy trzeba się nam nauczyć, to jest punktualności i systematyczności w pracy. Brak tych dwóch zalet poczytuje się nam za wady narodowe. Nasi sąsiedzi tak dobrze o tem wiedzą, że gdy pracowałam zagranicą, wmawiano mi, że chyba nie jestem polką, gdyż jestem zbyt punktualna! Naturalnie, reagowałam odpowiednio na takie zarzuty, ale w duchu przyznawałam im rację!

Francuzi przestrzegają punktualności do tego stopnia, że kilkuminutowe spóźnienie do pracy grozi zwolnieniem, a nieraz się zdarza, że opóźniona urzędniczka zastaje przy swem biurku inną pracownicę. Naturalnie, że w krajach zachodnich pracownik, po ośmiogodzinnej pracy, zostawia wszystko i wychodzi; niema tam żadnych nadprogramowych godzin, każdy ma czas na sporty, przechadzki i inne przyjemności. W biurach, gdzie urzędnicy sprężyście pracują, interesanci nie potrzebują wyczekiwać godzinami, jak to bywa u nas przeważnie po wszystkich urzędach

Trzeba raz tylko pójść do Kasy Chorych, urzędu podatkowego, a choćby do lekarza prywatnego, u którego na tabliczce napisano: przyjmuje od 11-ej do 1-ej — w najlepszym razie rozpoczyna przyjęcie o 2-ej. Wiemy zaś, jak cierpi nasz dom, gdy wracamy o dwie godziny później, niż zamierzaliśmy. Tych dwu godzin straconych nie da się żadną miarą nadrobić.

Otóż propagowania punktualności i pracy systematycznej muszą się podjąć kobiety; rozpocząć wpajanie tej zasady dzieciom, wymagać jej od mężów, braci, służby i same świecić przykładem. Zobaczymy wtedy, jak zniknie u nas chaos, nieład i różne wynikające stąd przykrości, ile zyskamy na czasie. Żadna chwila nie powinna być stracona bezczynnie.

Podczas pobytu w Atenach, zauważyłam, że większość kobiet robi w tramwaju robótki, tak samo w pociągu i na okrętach. Najwięcej jednak zdumiona byłam, gdy w czasie krótkich wizyt przy spożywaniu tradycyjnych „Clico“, konfitur i wody — nie rozstają się Greczynki z robótką, którą wyjmują z woreczka, również własnoręcznie wykonanego! Nigdzie też

nie widziałam tak dużo pięknych tkanin ręcznej roboty, jak w domach greckich i na Greczynkach.

Naturalnie, że jadąc jeden lub dwa przystanki, nie oplaci się rozpoczynać robótki, najwyżej można czytać, ale w 20—40 minut można już dużo zrobić; tymczasem u nas, wyczekując na dworcach, pilnując dzieci w ogrodach i parkach, — bony, niańki i matki siedzą bezczynnie, najwyżej ploteczkami skracają sobie czas, a w domu pończochy, skarpetki podarte, bo nie wypada pracować publicznie.

Giną coraz bardziej nasze narodowe samodzielniki, tkaniny, motywy, tłumaczmy się tem, że kobieta współczesna nie ma czasu. Chciałam tylko wskazać, że można zyskać dużo na czasie, wykorzystawszy odpowiednio każdą chwilę.

Pracujmy w naszych domach, pracowniach i urzędach podług pewnego systemu i programu, a unikniemy gorączkowego zdenerwowania i znajdziemy na wszystko czas, a z nim zadowolenie i spokój.

Róża Machówna—Poznań.

Za przykładem.

Ludzie, obdarzeni wrażliwością na estetykę wzroku, biadają, że zanikają u nas wśród ludu narodowe stroje, takie radośnie barwne, tak cudownie zharmonizowane z tłem przyrody.

Doskonałą na to radą okazał się środek, wynaleziony przez dwie siostry, „panienki ze dworu“ w naszej okolicy. Wyrysowały one sobie i wysyły prześliczne szatki krakowianek i dowiodły ad oculos, że można w tem być ładną, nawet ładniejszą, niż w dzikich jaskrawościach modnych materiałów, że się na dystynkcji i uroku nie traci nic a nic... ba, może się te cechy nawet podkreśla subtelnie i dyskretnie.

Nasze sąsiadki „paradują“ w swoich strojach krakowskich na przedstawieniach amatorskich teatralnych, na odpustach, majówkach i... zaroiło się już u nas we wsiach okolicznych od barwnych krakowianek.

Jak pożądanem byłoby, żeby panie (panowie też — nie wykluczajmy ich, skoro jest równouprawnienie!) z inteligencji, ci zwłaszcza, najbliższej z ludem obcujący — nauczycielstwo szkół powszechnych w pierwszym rzędzie — zechcieli metodą pogładową zademonstrować, że strój krakowski, czy łowicki, czy góralski, doskonale nadaje się do uwydatnienia naturalnego wdzięku młodzieży polskiej, że wygląda się w tem uroczo, nie tylko na tle zbóż i łąk, ale i w domu, w małym, estetycznie robótkami niewieścich rąk przyozdobionem mieszkanku. Do „salonu“ — do wielkiego miasta — można się ubrać inaczej, przecież tajemnicą ładnego ubierania się jest: ubierać się stosownie.

Prośmy więc „Bluszcz“ o umieszczenie w dziele robót kobiecych modeli na wyszycie staniczków do strojów narodowych, i niech każda młoda panienka na wsi ma sobie za obowiązek posiadanie i używanie szatek ludowego kroju: są one do twarzy wszystkim, bo się sprzymierza z niemi urok otaczającej przyrody.

M. B. z lubelskiego.